

## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.  
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**

*Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.*

ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz pełitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

## Trzeba znać obce.



Trzeba znać *obce*, ale tylko *swoje* kochać.

Trzeba znać obce ziemię, aby podpatrzyć, czy nasza lepiej... uprawiać się nie da.

Trzeba znać ducha świata, wskazującego myśli ludzkiej nowe drogi, przygotowującego przełomy ekonomiczne, stwarzającego piękno; słowem, pędzlem, dłutem. Trzeba znać, choćby dla emulacji, choćby dla kontroli, czyśmy nie bardzo w tyle.

Trzeba znać *obcą* kobietę, aby... *swoją* jeszcze wyżej cenić.

Mam przed sobą nową książkę o Amerykankach. Autorka jej, pani Bentzon, ocenia „yankeski” zdaje się sprawiedliwie. Barw jasnych nie brak, ale i ciemnych nie mało. Tych ostatnich, kto wie, czy nawet nie więcej, przynajmniej między wierszami. Chwilami przeważnie obiektywny ton p. Bentzon jest takim, jakby jej hasłem były słowa starego Molière’a:

Je consens qu’une femme ait des clartés de tout,  
Mais les femmes docteurs ne sont point de mon goût.

„Przedewszystkiem — powiada autorka — trzeba mieć na uwadze, że tam za morzem są dwa typy kobiece. Amerykanka z północy, to zupełnie inna istota, niż Amerykanka z południa. Znając główne cechy tych dwóch typów, trudno ich nie odróżnić...”

Amerkanki z północy widzimy często w Europie: są one pełne samodzielności, lubią podróżować same, szukają pilnie wrażeń i zdarzeń i wzorów do społecznej pracy. Amerykanka z południa, to typ zupełnie odmienny, typ idealnej żony, tylko żony, która dzieci wychowuje, gospodarstwo nadzoruje i razem z mężem myśli i razem z mężem się troszczy o jego sprawy — nie, niema jego spraw — o ich sprawy, ich wspólne.

„Amerykanka z północy — czytamy dalej — ma niepreparaty pociąg do samodzielnej działalności publicznej na wielką skalę. Ciche współpracownictwo, lub samodzielność na małą skalę, jej nie wystarcza. To, co ona robi musi być wielkie, bardzo wielkie i mężczyznom wara od tej pracy.”

I przyznać trzeba, że ich działalność na tem polu jest i rozumna i wydatna.

Zwłaszcza dwa rodzaje instytucji, utworzonych inicjatywą i energią Amerykanek północy, okazały się bardzo praktycznymi. Pierwszy rodzaj, to wielkie domy robotnicze w New-Yorku i innych większych miastach Ameryki, gdzie pracownik każdego zawodu może za mierną opłatę miesięczną mieszkać, oraz się stołować.

Opłata w stosunku do dobroci mieszkania i wiktury jest śmiesznie niska, a pobiera się ją jedynie dlatego, aby dobrodziejstwo nie miało postaci darowizny.

Jedynym warunkiem przyjęcia do takich domów jest nienaganna moralność, oraz dowód, że jest się rzeczywiście robotnikiem.

Odmianą tych instytucji są domy przeznaczone specjalnie dla pewnych zawodów, oraz domy dla robotników, pozostających czasowo bez pracy.

A znacie państwo miss Doddge? To dzielna, energiczna kobieta, doskonały typ północnej Amerykanki, zajętej z takim zapałem pracą społeczną, że przy niej często zapomina nawet o swoim własnym szczęściu.

Miss Doddge bardzo chętnie pokazuje „swoją dom”. Ładny, wielki, schludny to dom; na wszystkich piętrach, a jest ich sporo, znajdują się pracownie różnych zawodów kobiecych. Wszędzie przestrzegana skrupulatnie czystość, higiena. Oddziałów moc bardzo wielka: przędzalnie, szwalnie, hafciarnie i t. d., i t. d. Pracownice nie blade, nie schorowane, pogodna na ich twarzach i uśmiechy, bo one pra-

cują nie dla pracodawców, ale tylko dla siebie do podziału, bo ten dom, to właściwie ich dom. Dobra miss Doddge sprawiła, że wszystkie nowo-jorskie stowarzyszenia robotnicze utworzyły związek, a związku własnością jest to wielkie wzorowe ognisko pracy. Robotnice nazywają ten olbrzymi swój gmach „domem miss Doddge” jedynie z wdzięczności dla niestrudzonej rzeczniczki zrzeszenia się.

Za inicjatywą kobiet powstały podobne związki i domy robotnicze prawie w każdym większym mieście Ameryki północnej.

Omówiliśmy nieco obszerniej te dwa rodzaje społecznej instytucji, bo ich ustroje u nas zupełnie prawie nie znane, charakteryzują najlepiej ideały działalności społecznej Amerykanek północy.

Istniejące u nas szkoły dla sług, są również bardzo chętnie zakładane przez zamorskie działaczki społeczne. Ma to tam swoje specjalne powody. Żadna z typowych Amerykanek nie zajmuje się gospodarstwem domowym, ztąd dbałość o dobrze wykształcone sługi.

Gospodarstwo domowe, to rzecz za błaża dla yankesek północy.

Równie żywo, jak życie społeczne, zajmują Amerykankę wszelkie gałęzie wiedzy. Uniwersytety kobiece, których jest obecnie w Stanach Zjednoczonych 179, rozdają tytuły doktorek, a każda typowa Amerykanka przynajmniej się ubiega o taki tytuł. Rok rocznie zapisuje się na te Uniwersytety przeszło 20,000 uczennic.

Pani Bentzon cytuje zdanie jakiegoś głęsnego za morzem profesora o zapale yankesek do nauki. Zdanie to jest mocno pesymistyczne.

„Wykształcenie kobiet amerykańskich — mówi on — obejmuje bardzo dużo gałęzi naukowych, kto wie, czy nawet nie za dużo. Wątpię jednak, czy w większości wypadków osią-



gają one z tej nabytej wiedzy inną jeszcze korzyść prócz tej, że mogą powiedzieć: „Zdałam wszystkie egzaminy — jestem doktorką.“ Jeśli się znalazła Amerykanka bez pretensyi... arroganckich, byłaby wzorem, byłaby ideałem wszystkich kobiet całego świata, lecz niestety, dzisiaj trzebaby szukać długo, zanimby się znalazło taką, któraby nie twierdziła, że na wszystkim najlepiej się rozumie.“

Prócz kobiet, zajmujących się z zapalem sprawami społecznymi, lub wiedzą, jest dużo takich, które podobnie, jak część kobiet starej Europy nie myślą o niczem innym, jak tylko o zabawie i fatalaszkach, o zadowoleniu swych kaprysów i nerwów. Jest tylko ta różnica między kobietą płytką starej Europy a młodej Ameryki, że ta pierwsza po największej części jest tylko „głupią gąską“, podczas gdy ta druga zazwyczaj jest złym... wampirem.

Co do stosunku Amerykanek-zon do ich mężów, to niema w tych poźyciach — według zdania pani Bentzon — ani mowy o jakiejś wspólności ideałów lub pracy. Niezamożna Amerykanka-żona nie troszczy się o interes męża, nie siedzi w jego sklepie, lecz na własną rękę, zupełnie samodzielnie, prowadzi równorzędnie z mężem jakiś swój interes. Nie raz pomoc, udzielana stale mężowi, przynosiłaby z pewnością większe korzyści, niż samodzielnie uprawiany zawód, ale szanująca się Amerykanka ani nawet nie myśli o tem: ona przedewszystkiem nie chce być podwładną męża, nie chce być jego satelitą.

A cóż mężczyźni na to? Mężczyźni są niewolnikami amerykańskiej kobiety, bo jej nie dorównują wykształceniem. Mężczyźni są niczem w domu małżeńskim, kobieta wszystkim. Tem się też tłómaczy zupełna swoboda działań Amerykanki; dla sprawiedliwości należy dodać: swoboda, po największej części bynajmniej nie nadużywana.

„Amerykanki z południa— pisze pani Ben-

tzon—uśmiechają się ironicznie, skoro im się mówi o „zamiłowaniach mężkich“ kobiet z północy. „My — mówią one — staramy się też o gruntowne wykształcenie, ale jest ono dla nas środkiem, nie celem. Zakres działalności we własnym domu, u boku męża, u boku dzieci jest tak wielkim, a przytem tak bardzo ważnym i odpowiedzialnym, że nie dobrze rozpraszać sił, nie dobrze dać się zastępować... sługom...“

Książka p. Bentzon pisana interesująco, żywo, a przytem taktownie, beznamiętnie, robi wrażenie poważnego studyum.

Charakterystycznym jest, że właśnie Stany Zjednoczone, w których kobieta odgrywa tak ważną, a przytem tak samodzielną rolę, grają w krajach Ameryki pierwsze skrzypce: są źródłem inicjatywy, bogactwa, potęgi...

...Trzeba znać *obce*, ale kochać *swoje*. Trzeba znać *obcą* kobietę, aby... *swoją* jeszcze wyżej cenić!

N.



Maryan Gawalewicz. ←

J A D.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Od miesiąca Julek Dobrojewski bawił w Wiedniu; w hotelu Sachera zajmował pokój z widokiem na gmach Opery i na ruchliwą do późnej nocy Kärtnerstrasse, sypiał do południa, schodził na obiad, kiedy już sala restauracyjna opustoszyła się ze stołowników, potem godzinę albo dwie włóczył

się po mieście bez celu i powracał do domu czytać książki i gazety, a wieczorami szedł do teatru lub do Puchera na polskie dzienniki i na rozmowę z rodakami, których w kawiarni na pewno spotkać się spodziewał.

Późną nocą zasiadał do biurka i pisał przy świetle stołowej lampy elektrycznej z jedwabnym daszkiem błękitnego koloru.

Pijał mnóstwo czarnej kawy i wypalał całe stopy papierosów egipskich.

Od czasu wyjazdu z Warszawy zchudł, zmienił się na twarzy, zapuścił brodę w podróży, aby się nie gościć po fryzjerniach włoskich i na Rivierze, gdzie spędził cały czas od ślubu Misi, zmieniając co kilka tygodni miejsca pobytu.

Był wszędzie, gdzie ona z matką za czasów panieńskich jeździła, stawał w tych samych hotelach, które one zamieszkiwały, oglądał to wszystko po raz dziesiąty, o czem z nim po powrocie z zagranicy zazwyczaj rozmawiała.

Rozdrażniał sobie serce wspomnieniami o niej, bo mu to sprawiało jakąś bolesną rozkosz i rozkoszny ból, który go podniecał przy pisaniu powieści.

Teraz dopiero nabral świadomości, jak ją kochał i ile miejsca w jego życiu zajmowała.

Odkąd ją utracił na zawsze, stała mu się jeszcze droższą i jeszcze ponętniejszą, choć wiedział, że jako żona innego, odebrała mu ostatnią resztkę nadziei pozyskania kiedykolwiek jej serca.

Przez pół roku takiej samotnej włóczęgi zaszła w nim zmiana, jakiej się sam po sobie nie spodziewał; nawet z powierzchowności nie byłaby go teraz Misia poznała, z tą twarzą bladą, z tą bujną grzywą włosów i oczyma zapadniętymi, w których chwilami napływała mgła jakby melancholii, a chwilami gorzały iskry dziwnego blasku.

Wyszlachetniał mu wyraz twarzy i po

## QUODLIBET.

(Pogawędka).



III.

A po francuskiej stronie tylko jeden pomnik, ale jaki!...

Na samej granicy, przy gościńcu, który już w niemieckie dziś prowadzi dzierżawy, wspiął się rozszroby, gniewny, wspaniała lew z rozwartą paszczą, z wyszczerzonymi kłami; jedną łapą przyciska mocno zgarbioną sztandar Francyi, a drugą groźnym, rozkazującym ruchem wskazuje ziemię i zda się wstrząsającym rykiem wołać:

— Tylko dotąd!... ani kroku dalej!

Jest jakaś żywiołowa, imponująca siła w postaci tego zagniewanego lwa; powiedziałbyś, że duch sromotnie dotkniętego narodu wcielił się w ten symbol potęgi, wspaniałości i odwagi, że żywy król pustyni jednym sussem wskoczył na zrab głazu i spojrzawszy na wydartą ziemię, skamieniał ze zgrozy i bó-

lu, ale skamieniał ze strasznym rykiem, od którego zdają się drżeć nawet krzyże na niemieckich mogiłach i nawet duchy poległych bohaterów, z samym Moltkem na czele, zatrzymują się o północy, usłyszawszy tę francuską komendę: „*Jusque ici!*...“

Gorącym patriotą musiał być artysta, który się zdobył na taki pomysł i na takie dzieło.

Szkoda tylko, że nie dano pomnikowi większych rozmiarów; lew wyrzeźbiony ma zaledwie wielkość naturalną, a wielka idea wymaga i formy odpowiedniej.

W mroku wieczornym szarzał już pomnik pograniczny w Mars-la-Tour, kiedyśmy załtwiwszy formalności na niemieckiej komorze, pędzili dalej z Vionville, a jeszcze po za sobą słyszałem ten lwi ryk, zmieszany z szyderczym, goryczy pełnym śmiechem, który mi przypomniał Mussetowskie: „*Nous l'avons eu votre Rhin allemand!*“

Ale na widok pierwszej pikelhauby niemieckiej zaciąłem usta i już dalszych wierszy nie śmiałem głośno powtórzyć.

Przez Rézonville przemyczał nasz francuski automobil, jakby się czaił, jakby mu nieswojsko było wśród murów tego pamiętnego mia-

stecka, w którym złotymi literami na marmurowych tablicach, uwieńczonych kwiatami i zielenią, błyszczały ku wiecznej tej rzeczy pamiątce niemieckie napisy, że w tym domu nocował cesarz Wilhelm, w tym drugim mieszkał sam Bismarck, w trzecim stał wielki Moltke, a w innych jego pomocnicy, dzierżący marszałkowskie buławy.

Po starym cesarzu, który trudów kampanii się nie uląkł, pozostało w jego kwaterze łóżko, pościel, nawet pierzyna i wszystkie meble tak, jak stały podczas historycznego noclegu.

Widziałem to na korespondencyjnej karcie, na której czułe Niemki poselają do swoich miłych z podróży: „*Gruss aus den Reichslanden.*“

Słusznie powiedzieli Rzymianie: *Sunt lacrimae rerum.*

Przypuszczam, że w samochodzie paryskim, który pierwszy raz potoczył swe koła po straconej ziemi ojczystej, musiała się znajdować cząstka francuskiej duszy, bo stało się z nim to, co na widok Alzacyi i Lotaryngii dzieć się musi w sercu każdego do-



głębił się jakąś zadumą, tylko około ust i nozdrzy zarysowały się zlekka dwie smugi, jakie wyżłabia u ludzi wrażliwych i przeczulonych nerwowo grymas, podobny do ciągłego uśmiechu ironii.

Wiosna przypędziła go z powrotem; miał dość południa, słońca, fiołków i moskitów, zapragnął po raz wtóry zobaczyć wiosnę po drugiej stronie Alp i pojechał do Wiednia.

Tu przypadkiem spotkał w hotelu dawnego znajomego, z którym przed laty spędzał miłe chwile w Paryżu, w Nizy, w Monte-Carlo, kiedy jeszcze młodzieńczy wiek jego szumiał bujnością życia i jakąś żarłoczną żądzą wrażeń.

Była to właśnie epoka największych szaleństw Julka; dorwał się wtedy majątku i swobody, pragnął użyć świata, rozkoszy wszelkiej, zabaw i szalu.

Trwało to na szczęście nie zbyt długo; po paru latach takiego wirowego tańca oprzytomniał i przekonał się, że miał dość, że się napił do syta tego życiowego szampa i że nie należy przebierać miarki.

Zaczynał ucywać zgagę po przepiciu, która go ostrzegała przed niebezpieczeństwem nadużycia, powrócił wówczas do Warszawy na stałe, ale przywiózł ze sobą opinię lekkoducha i wartogłowa, sympatycznego birbanta, o którym rozpowiadano niestworzone rzeczy, w połowie prawdziwe, a w połowie dosnute z bujnej wyobraźni salonowych plotkarek i nowinkarzy.

Podrwiwał sobie z tego i na złość ludziom, własnej rodzinie, wszystkim ciotkom i stryjaskom, którzy go moralizować chcieli, udawał jeszcze gorszego od swej opinii, gorszył mamy i panny po salonach wygłaszaniem poglądów i teorii, od których obłudnie „damy z monde'u“ zatykały sobie uszy, ogłosiwszy go za cynika i zepsutego do szpiku kości hulakę.

Ale to właśnie nie przeszkadzało, aby go

rozrywano w towarzystwach, zapraszano do wszystkich salonów i uważano za jednego z najmiłszych i najbardziej zajmujących „causeur'ów“, którego każda z mężatek pragnęła mieć obok siebie przy stole, a każda z panien, pomimo ostrzegających spojrzeń mamy, wybierała na balach do mazura lub kotyliona.

— Ba!... gdyby się chciał ustatkować! — wzdychały poważniejsze matrony, mające córki n. wydaniu.

Tylko że na przekór mamom i córkom, ciociom i stryjaszkom, udawał, że ani myśli o ustatkowaniu, bo wtedy właśnie zaczęła się w nim budzić skryta miłość dla kuzynki Misi, podsycana jej oporem i niewiarą, którą się broniła od jego wpływu i zabiegów w pozyskaniu jej serca.

Przed nią jedną uchylał chwilami maskę, którą nosił na twarzy z początku dla przekornej zabawy ze swoim światem, a później już z przyzwyczajenia i dla konsekwencji.

— Dla kogo tu warto być sobą? — pytał nieraz Misię, próbując być z nią zupełnie szczerem; — dla tych lalek, czy dla tych starych gęsi, co wysiedziały wszystkie te pantarki i pawięta, czy dla tych moich przyjaciół klubowych, czy dla tych papów, co mnie zaciągają do winta z przezorności, abym im córek nie bałamucil?... Powiedz mi, kto się tu na mnie ma poznać w tej naszej wyższej sferze, w której musiałbym się zadusić, gdybym sobie z niej nie kpil i nie brał jej na fundusz?... Przed tobą jedną jestem inny i co mi z tego?...

— Czy ty tylko na prawdę inny ze mną? — pytała z uśmiechem powątpiewania, — czy też próbujesz wydać się inaczej?

— Jak ci się zdaje?

— Zdaje mi się, że ty sam siebie ludzisz, aby nam obojgu zrobić przyjemność.

— Tak sądzisz?

— Muszę, bo przecież nasłuchiłam się ty-

le o tobie od ludzi i od ciebie samego, że musiałabym uwierzyć w istnienie dwóch Julków Dobrojewskich, z których jeden nie wart, a drugi za dużo w naszym świecie.

— To uwierz!

— Chyba cudem; ale na co mi to?... wiesz przecie, że cię nie Kocham.

Takie rozmowy działały na niego, jak smagnięcie batem po twarzy; zaciął zęby i buntował się przeciw niej.

Upokorzona szczerłość przybierała znowu maskę cynizmu i ironii; śmiał się, aby tym śmiechem pokryć zgrzytanie zębów.

I tak te dwie dziwaczne natury, które ku sobie zbliżało tajemnicze dusz pokrewieństwo, rozchodziły się ze sobą, rozskakiwały raczej po każdym zetknięciu, odtrącane z jednej strony zbytnią nieufnością, z drugiej drażliwą dumą i urazą zapoznania.

Pierwszą osobą, którą Julek spotkał w hotelu Sachera, po przybyciu z południa, był Eliziewicz, dawny jego znajomy i wesóły towarzysz z czasów birbantki zagranicznej.

Wnoszono go właśnie na poręczowem krześle z powozu po przejażdżce do Prateru; przez ten czas, w którym się nie widzieli, stary tabetyk zdążył do reszty stracić władzę w nogach i o własnych siłach nie mógł się podnieść, ani kroku postąpić bez podpory dwóch służących.

Wysoki, chudy, jak szkielet, z kablakowatym grzbietem, z twarzą pożółkłą, jak skóra i pomarszczoną, jak zeukrzała śliwka, bez wszelkiego zarostu, sprawiał wrażenie zniechęconego starca, któremu już się nie wiele od życia należało.

Julek poznał go jednak od pierwszego wejrzenia.

Z wyrazem przykrego zdziwienia i współczucia zbliżył się do niego, gdy go w krześle postawiono na chwilę przy wejściu na schody i podając mu rękę, zawołał:

brego patrioty Francuza, tracącego nadzieję odwetu.

W Gravelotte, pod samym domem, gdzie Napoleon III-ci miał kwaterę w smutnych dniach Sierpniowych 1870-go roku, pękło naszemu automobilowi nie serce wprawdzie, ale guma u przedniego koła.

Mniejsza o to, co pęka w drodze, ale kiedy raz pęknie, to zawsze trzeba stanąć i naprawiać, a to się nazywa „wypadkiem w podróży“, z którego dawniejsi komedyopisarze i belletryści lubili zadzierzgać romansowe intrygi.

Przezorny automobilista na takie przygody musi być przygotowany i w podróznym pudle, pod karocą, ma cały warsztat, narzędzia, zapasowe części maszyny i powozu, płócienny chałat, który wdziewa do roboty, a w którym najpiękniejszy mężczyzna wygląda, jak smoluch poplamiony i zatłuszczony.

Zanim nasz Chauffeur (o tym będzie później) nałożył na obręcz świeżą kiskę gumową i nadał ją powietrzem, minęło dobre półgodziny, podczas której na wzór Słowackiego „W Szwajcaryi“ zamiast rozmyślać czy ona była „niebieskim aniołem“, poszedłem zwie-

dzić miejscowe Muzeum wojenne w Gravelotte, umieszczone przez ścianę tylko obok Napoleońskiej kwatery.

Pozbierano tu mundury, broń, pociski, bębny, trąby, rozmaite trofea i szczątki znalezione na okolicznych pobojuwiskach, po krwawych walkach 1870-go roku i zawieszono porządnie, symetrycznie na manekinach i ścianach, poukładano w oszklonych gablotkach, poustawiano po kątach i między oknami w dwóch salach na dole i na pierwszym piętrze, i za marną zapłatę 50 fenigów wystawiono na widok publiczny dla ciekawych podrózników.

Chodziłem sam jeden po tej wystawie; mrok już zapadał, przez szyby wciskały się ostatnie blaski zachodu i jakieś tajemnicze cienie snuły się koło mnie...

Dla człowieka z wrażliwą wyobraźnią, nie bardzo miłym jest pobyt w takim miejscu wieczorem, pośród tych martwych łupów śmierci i zagłady, z których każdy przypomina jakąś chwilę strasznej grozy, na każdym pozostało piętno wielkiego tragizmu: każdy służył lub uległ zniszczeniu.

Stoisz wpatrzony w te zardzewiałe klingi,

w te pęknięte bomby i granaty, poszczerbione puklerze i hełmy różnego kształtu, w te wypchane kubraki i rajtuzy kirasyerskie, w podziurawione kulami i bagnietami mundury piechoty i nagle zdaje ci się, że w powietrzu zaczyna się unosić zapach pleśni i zgnilizny grobowej, zawiewa cię wyziew krwi i prochu, czujesz swąd jakiś i wilgotne opary, któremi dymią świeże pola walki.

Każda z tych szabli nasiekała ran nie mało, każdy karabin wystrzelił kul wiele, które teraz, splaszczone na czyichś kościach, leżą spokojnie pod szkłem, jak paciorki, rozsypane z różańca śmierci; każdy z tych szyszaków, kepi i kasków spadł z jakiejś głowy rozłupanej, każdy z tych mundurów o świecących guzikach i epoletach opinał czyjeś żywe pierś, w których biło zapalem żołnierskie serce, przebite może kulą lub bagnietem.

I robi ci się w takiej chwili na widok tego wszystkiego jakoś nieswojsko, jak mnie było w ów wieczór, kiedy stąpał cichymi krokami po skrzypiącej posadzce Muzeum wojennego w Gravelotte, jak gdybym się obawiał pobudzić duchy tych rębaczy, strzelców i doboszów, z których pospadał rynsztunek



— Eliziewicz?... wszak się nie mylę?...

Tabetyk zmrużył oczy, przechylił głowę trochę na bok i przyglądał mu się uważnie przez chwilę; potem twarz mu się pokrzywiła jakimś małym grymasem, odsłonił w uśmiechu duże, białe, szerokie zęby, które mu nadawały wyraz gryzonia i zaczął szybko, nerwowo kiwać głową, wydając z gardła coś w rodzaju rechotania rozweselonej ropuchy.

— A Eliziewicz, Eliziewicz! — potwierdzał z widocznym zadowoleniem, — Saturnin, dodaj pan, Saturcio Eliziewicz!... No, patrzcie, poznał mnie!... Kto jesteś, kochany przyjacielu z takim bystrym wzrokiem i taką łaskawą pamięcią?... hm?... nazwisko!...

— Dobrojewski.

— A!... a!... a!... Dobrojewski, Julek Dobrojewski?... Jak własne nogi kocham, Julek!... Cóż ty się na takiego włoskiego katarzyniarza przerobił?... broda, jak u tenora, kudły à la Rinaldo Rinaldini, kapelusz bandycki i peleryna!... Julek, bój się tabesu!... Trzymajcie mnie, bo wyskoczę i będę skandal!... wyskoczę i grzmotnę na ziemię z wielkiej radości. Jak się masz, Julek!...

Kiwał głową, jakby miał poderżnięte gardło i rechotał tym samym nerwowym, przykrym śmiechem na znak nadzwyczajnego zadowolenia.

Ścisnął przytem w obu zimnych, zeschniętych dłoniach jego rękę i wyszczerzał swoje szerokie zęby.

— Cóż tu robisz u Sachera? — zaczął się dopytywać.

— Przyjechałem przed chwilą i wziąłem numer na pierwszym piętrze.

— Tu mieszkasz?... ja także, ja także, — drugi rok, wyobraź sobie!... ale za tydzień mam się wyprowadzać, bo mnie zdzierają. Co niedziela kłócę się ze szwabami przy obrachunku, a co poniedziałek znowu przepraszam, bo mi tu dobrze. Opera naprze-

ciwko, chórzystki... balet... coś, tego... uważales?

Zmrużył oko i znacząco zerknął na Julka. — No, to mnie nieście na górę. — zawołał nagle, — czegoż stoicie, gamonie, z rozdziawioną paszczą?... *Vorwärts!*... A ty pójdziesz za mną, prawda? — zwrócił się znowu do Dobrojewskiego. — Przecież musimy się nagadać za wszystkie czasy!... No, widział to kto?... żebym ja jeszcze Julka spotkał!...

Dwaj służący ujęli krzesło z Eliziewiczem i zaczęli wstępować na schody.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Zazdrość.



Pustemi zaułkami, gdy biały dzień skona,  
A noc rozpostrze w okół kiry tajemnicze,  
Kryjąc w mglistych zawojach posępne oblicze,  
Sunie zazdrość, żółtością trupią powleczonea.

Jak widmo, zmartwychwstałe świeżo z grobu Pana,  
Do ludzkich chat się skrada, płoszy sny dziewicze,  
Sączy w serca śmiertelne jady i gorycze,  
Wiekuiście nieufna, trwożna, zawiedziona ..

Nienawistną jest dla niej niewinnych serc wiara,  
Nienawistnym dlań spokój, co klei powieki —  
Zakłócić go, zawichrzyć od wieków się stara,

Weiska się za kotary, wślizguje, jak cienie,  
A tuż za nią w ślad pelza krwawe podejrzenie,  
I gasi promień szczęścia ostatni — daleki..

Wiktor Dzierżanowski.



na wojnie i którym z martwego ciała pościągano ubranie!...

Jest coś drażniącego w ciszy pustych gmachów, sklepień grobowych, cmentarzy, kaplic pogrzebowych i muzeów wojennych; zmysły ludzkie domagają się śladu życia.

Prztyknąłem palcem w bęben francuzki, — zadudnił głucho, jakby pod pałeczką nieboszczyka dobosza, który w niego walił zapewne, gdy kompania biegła do ataku po ścierniskach, z bagnetem w rękę.

A teraz odezwał się głosem zagrobowym, ponurym, jakim zwoływać muszą do apelu po drugim brzegu Styksu dusze zmarłych.

I w tej chwili nie przysiągłbym na to, czy nie szcęknęła broń na ścianach kolorem krwi pomalowanych, czy mundury rozwieszzone na manekinach udających żołnierzy, nie podniosły się w okolicy piersi i rękawy z prawej ręki nie zachwiały się ruchem, jaki robiły przy salutowaniu.

Stary romantyzm nie wywietrzył mi z głowy i dlatego miewam takie niemodne złudzenia, ale gdybym się kiedy jeszcze odważył napisać balladę, to za temat wziąłbym

takie Muzeum wojenne w Gravelotte i spróbował dreszcz grozy [zbudzić w was opisem sceny o północy, gdy w rocznicę krwawych bitew pod Sedanem zardzewiałe szable zaczynają zeskakiwać z gwoździ i tłuc się same w powietrzu, bębny zaczynają warczeć i poszczekiwać pobudkę, karabiny brać się wzajemnie na cel, a te francuzkie i niemieckie mundury na tułowiach drewnianych, rzucać się i szarpać ze sobą, jakby w dalszym ciągu prowadziły walkę o zwycięstwo i honor żołnierski.

Ale ja tego nigdy nie napiszę, bo bohater-skie ballady dawno wyszły z mody, a w duchy nawet niańki przestały wierzyć, nie dopiero dzisiejsi poeci, którzy inne pieśni spiewają do snu czytelnikom.

*Andere Zeiten, andere Lieder!*...

Kiedy nabrzmiała już nowa guma na obręczy naszego automobilu (mówię „naszego“, bo człowiek się spoufała z cudzą rzeczą, gdy często jej używa), pojechaliśmy, jak dwa bogi z naszym automedonem śliczną drogą z Gravelotte na Moulin do Metz.

Zadrzewioną węzownicą spadaliśmy coraz niżej, zataczając kręgi, w jakich spada balon,

## Wyższe kursa wakacyjne w Zakopanem.



Uniwersytety, jakie dotąd istnieją, mają na celu wykształcać intelligentnych pracowników zawodowych: lekarzy, prawników, filologów, przyrodników — jednym słowem służą praktycznym potrzebom społeczeństwa. Brak zaś dawał się bardzo odczuwać jakiejś wyższej szkoły, któraby ogólnie kształciła, najbardziej w tem, co człowiekowi, jako jednostce ludzkiej i jako członkowi społeczeństwa największą korzyść przyniesie. Taka szkoła powinna być ogniskiem czystej, wolnej, abstrakcyjnie wziętej wiedzy, nauki i kultury umysłowej. Nie będzie dawała patentów, nie będzie torowała drogi do kariery, ale da człowiekowi pewien światopogląd, pomoże mu oryentować się w świecie i w obowiązkach społecznych. Dr. Krauz nazywa ją „wiecznie zwróconą naprzód w przyszłość i postęp, żrenicą narodu.“ Uczelnia ta przyjmie pod swe skrzydła szczególnie te nauki, które na uniwersytetach rządowych nie mają katedr, np. socjologia, antropologia, i da sposobność wystąpienia na arenę professorską tym ludziom, którzy z powodu najrozmaitszych warunków życia nie mogą mieć do tego gdzieindziej sposobności.

Podobne szkoły już istnieją na Zachodzie: we Francji: „Collège libre de sciences sociales“, „École libre des Hautes-Études Sociales“, „Collège de France“ w Belgii, uniwersytet katolicki w Lowanium, liberalno-doktrynerski w Brukselli, „Uniwersytet Nowy“, tamże i odłam jego: „Institut des Hautes Études.“

W Galicyi istnieje prywatna szkoła nauk politycznych i kursa wakacyjne w Krakowie, trwające przez Lipiec do połowy Sierpnia.

Pewne grono osób, pobudzone inicjatywą studenta Uniwersytetu wiedeńskiego, zachwy-

kiedy zbliża się z napowietrznej wędrówki ku ziemi.

Sądzę, że balon nie niósłby nas lżej i wygodniej, jak poczciwy samochód na sprężystych resorach, chociaż niemieckie gościńce często nam... nie na głowie zostawiały sińce.

Niemiecy inżynierowie muszą być koniecznie mądrzejsi od całego świata, bo w Niemczech wszyscy roszczą sobie prawo do patentu na mądrość i każdy, czysto urodzony Germanin, przychodzi już na świat z tytułem doktora, który mu potem tylko w Lipsku, Heidelbergu lub w Berlinie na Uniwersytecie potwierdzają, kiedy się zbliża do pełnoletności.

Otóż ci inżynierowie niemieccy wpadli na pomysł, że na spadzistych drogach należy kłaść wypukłe, mniej lub więcej, progi, aby się wozy na czem oprzeć miały, gdy hamulec nie wystarcza.

Nie przeczę, że dla pospolitych wehikułów, które jeszcze potrzebują pociągowej siły w koniach, takie progowate drogi oddają nawet nie małą przysługę, ale automobil, który kpi sobie ze spadków i pochyłości, a na wznórze niezbyt strome włazi zręcznie, jak mała i na-



conego wyższymi kursami akademickimi w Salzburgu, założyło Towarzystwo, z prezesem Odo Bujwidem i sekretarzem Kaz. Krauzem na czele, które ma na celu urządzić co rok wyższe kursa wakacyjne.

Towarzystwo składa się z członków zwyczajnych, wspierających, założycieli i honorowych.

Kir.



## Ułamki szczęścia.



(Dokończenie).

Oddziaływamy nawzajem na siebie samą obecnością, samą jakością naszą. Ktoś może nam wypowiadać najwznioślejsze zdania a my czujemy dźwięczącą za nami pustkę, nicosć nieszczerości. Ktoś drugi jednym spojrzeniem, ruchem, uśmiechem, odkryje nam całą głębię uczucia i zrozumienia.

Można powiedzieć, że rozwija się w nas powoli specjalny zmysł w odczuwaniu fałszu.

Solidarność naszą możemy też ochrzcić nazwą wyzyskiwania wzajemnego i musowego. Wyzyskiwanie to wtedy dopiero nabiera cech ujemnych, kiedy przestajemy szanować indywidualność człowieka i narzucamy mu naszą własną. Każdy, czy chce czy nie chce, musi dawać ludziom swoje czyny, swoje słowa, myśli i albo ich w ten sposób krzywdzi, albo wzbogaca.

Są ludzie, którzy nigdy może nie sformulowali sobie wyraźnie tego zdania, a jednak jest ono w ich życiu drogowskazem. Ludzie gorącego serca, bezwiedni czciciele szczęścia. Innym duma każe dbać o to, by nikogo świadomie nie skrzywdzili. Ten sam rozkaz daje też rozum przewidujący:

„Nie siejcie krzywd, bo one przeciw wam lub dzieciom waszym obrócić się muszą, bo wy sami też za cudze winy cierpicie.“

W sprawie cudzych krzywd, do większości ludzi przemawia jednak głównie sobkostwo bezmyślne i chwilowo wygodne, upozorowane dość często chrześcijańskim przebaczeniem uraz cudzych.

Wprawdzie nie mamy tu wcale na myśli apoteozy zemsty, tego rozkładowego czynnika życiowego, jesteśmy najzupełniej przeciwni zasadzie: „zab za zab, oko za oko.“

Pobudki czynów ludzkich są zbyt złożone, zbyt głęboko ukryte, by ktokolwiek śmiało twierdzić, że te czyny sprawiedliwie osądzić zdoła. Nie chodzi nam bynajmniej o niedościgłą sprawiedliwość, a tem mniej o kary arbitralne na krzywdzicieli. Tu chodzi jedynie o otworzenie im oczu na zło, które czynią, oraz o jednakową miarę dla krzywd własnych i pozornie cudzych.

Błąkają się po świecie zdania proste i święte, a tak bezmyślnością ludzką sprofanowane, że objają się nam o uszy niby biblijne „cymbały brzmiące“ czechem dźwiękiem tylko.

„Bóg nie chce śmierci grzesznika lecz chce aby się nawrócił i żył,“ do takich zdań należy a jednak streszcza ono w sobie ogrom miłowania, tego miłowania, bez którego niema ani odrobiny szczęścia; bez niego czemżeż byłaby solidarność ludzka? Ona jest wszędzie utajonym motorem naszego życia duchowego. Czyż poziom etyczny człowieka nie zależy od kierunku, w jakim idą jego ukochania? Ujemne czy dodatnie skutki łączności czyż nie zależą od zakresu miłowania, jaki objąć może dany człowiek? Jeżeli w tym zakresie siebie tylko pomieści, wtedy musi być istotą, biorącą z woli, a dającą jedynie z musu.

Tacy ludzie przypadkowo tylko wzbogacili mogą skarb ogólny, dla nich nie otworzą się nigdy szeroko wrota szczęścia, bo nie wiedzą nawet o istnieniu wspaniałej rozkoszy daru,

rozkoszy oddźwięku. Ta rozkosz jest wielkim ułamkiem szczęścia. W ten sposób odczuwana łączność jest szczęściem musowem, może jedynie nam przeznaczonem.

Czy mamy jednak pomijać te śpiące dusze na drodze naszej spotykane. Nie, bo powinniśmy być jak słońce, które dla nikogo się nie zmienia i swoją idzie drogą.

W rzeczywistości dzieje się zupełnie inaczej. Jeden z naszych znakomitych autorów np. wypowiada zdanie. Jest to rada, którą zacny człowiek daje swej córce:

„Bądź dobrą tylko dla dobrych,“ — a więc ze złemi bądź złą? A więc zniżaj się do poziomu każdego spotkanego człowieka?

Takie pojęcie może być czasem bardzo wygodne w praktyce i bardzo wielu ma hołdowników, bo nie tak to łatwo być dobrym. Dobroć nie jest bynajmniej enotą bierną, maską niedoleżstwa i mazgajstwa. Ona wymaga wiele energii i wiele trudu od swych poddanych. Bywa granitowo twardą i nieustępliwą; ona musi nieraz wypalać rany za trute, wyciskać łzy, by oczy przejrzały. Ale jej celem jest zawsze ratunek, nie zagłada, zrozumienie winy — nie zemsta.

Ludzie dobrzy! nie jedni dają ciepło światu przez myśl badanemu. Nie tamujmy więc objawów dobroci naszej; przeciwnie, rozwijajmy ją, jako jedną z tych zdolności, która nas od reszty przyrody wyróżnia, jako drogocenne narzędzie w zwiększaniu ogólnej summy szczęścia, jako Opatrznościową rękę leczącą rany brutalnością sobkostwa zadane. Gonimy wiecznie za sprawiedliwością, której tylko pojęcie jest dla nas dostępne, nie za dobrocią. Wiecznie obliczamy, czy też nasze „zasługi“ dostatecznie są oceniane, czy aby nam za nie dostatecznie zapłacono; daleko ściślej prowadzimy rubrykę kredytu od rubryki debetu, jak gdyby wartość człowieka polegała nie na tem, co on sam dał, ale na tem, co sam dostał. Wszystkie nasze cnoty,

wet się nie zasapie, automobil nie potrzebuje tego rodzaju podpórek.

Przeciwnie, one go krepują w ruchu; on dostaje formalnej czkawki, kiedy rozpędzony natrafi na takie żebro w gościńcu, przeskakuje je na pół łokcia figlarnie, a wtedy to żeberko niemieckiej szosy staje kością w gardle automobilście, skazanemu Bóg wie za jakie winy... na tłuczenie pieprzu w sposób często bolesny, a zawsze bardzo niemily.

Przezorność tedy każe zwalniać przed każdym takim ochronnym progiem, aby nie jechać, jak po maglownicy, co znowu psuje wrażenie szybkiej i równej jazdy, a co zarazem marnuje czas drogi.

„Pomnij zapaleńcze młody, że wstrzymywać się w rozpędzie, gdy natrafiasz na przeszkody, wielce uciążliwym będzie; więc gdy dążysz masz do celu, który sobie zawsze znaczą, zbieraj siły przyjacielu i przez progi w drodze — skacz!“

Skakaliśmy też po gościńcowych żebrach, klnąc niemiecką praktyczność, ale za to dojechaliliśmy na drugi nocleg do Metz, który od razu zrobił na nas niesympatyczne wrażenie.

Znać na nim charakter mieszany, jak zwy-

kle na miastach pogranicznych; niemieczyzna pływa tu jak pozłota na francuzkiej zupie, trzydzieści lat germanizacji zrobiło tyle, że ludzie rozmawiają w Metz, jak słowniki francuzko-niemieckie, dwoma językami.

Przypuszczam, że głowy mówią po niemiecku, a serca jeszcze po francuzku.

Militaryzm pobrzękuje szablą i ostrogami na każdym kroku, co jest rzeczą zupełnie naturalną w mieście, które jest obroną twierdzą i ma 35,000 załogi wojskowej: trzecia część mieszkańców chodzi w mundurze.

Gdyby nie katedra, nie wartoby było zatrzymywać się w Metz.

Ale ten gotycki tum jest wspaniały, buchający, jak skamieniały płomień swojemi arkadami i wieżami ku niebu.

„I jedno mnie tylko dziwi, ty odwieczny chramie stary, że junkierstwo cię niemieckie nie zmieniło na koszary!... że pod sklepieniami twemi tłum lejtnantów się nie szweda i że dotąd tu wojskowa nie rozbrzmiewa dziś komenda.“

„Habt Acht!“ takby pięknie grało echem wśród tej atmosfery... Twe kolumny dziś już stoją, jak kamienne grenadyery.

„Militaryzm pruski silny, w swej potędze tak się puszy, że gdy krzyknie: „Marsch!“ — to wierzy, że i tum gotycki ruszy.“

Niema co robić w Metz, jeśli się nie chodzi na egzercyrkę i od rana nie pije piwa, więc o ósmej wsiedliśmy do niewyspanego automobilu (nocował biedak pod gołem niebem, na podwórku hotelowem) i pojechali w dalszą drogę do Saarbrücken, znowu pomiędzy bohaterskimi grobami niemieckich obrońców ojczyzny, napotykając co sto samochodowych kroków pomniki uwieńczone ogromną pikelhaubą, albo orłem czarnym, zdalaka do olbrzymiego kruka podobnym.

I tu tak samo, jak pod Mars-la-Tour, Rézonville i Gravelotte, Niemcy policzyli wszystkie kości rozsypane na polu bitwy i dokładny rachunek wypisali na marmurowych tablicach, zapomniawszy tylko dodać, ilu Francuzów zlało tę ziemię swoją krwią, broniąc granic kraju.

Saarbrücken ma wspólny charakter z Metz, jako miasto garnizonowe i twierdza; w powietrzu zdają się rozbrzmiewać ciągle odgłosy trąbki, bębna i miarowego tupotu żołnierskich chodaków w marszu.



zdolności, to tylko materyał do zamiennego handlu, na naszą korzyść, rozumie się. Że taki ciasny sposób pojmowania solidarności, szczęścia dać nie może, świadczy o tem choćby rozgoryczenie wszystkich ludzi, we własnym pojęciu nie uznanych lub za mało uznanych.

Od czasu do czasu jaśnieje jakiś wynalazek, który w jakikolwiek sposób upraszcza nam drogę życia, otwiera przed nami nowy widnokrąg — ale jakże mało ludzi cieszy się nim szczerze, gdyż na razie bezpośrednio ich on nie dotyka, nie daje im żadnych korzyści materyalnych, nie zmniejsza ich osobistych trosk i bólów.

Tak samo nie przejmują nas zbyt jakoś wielka massowa zbrodnia, która jednak znakiem hańby zaczerni dzieje ludzkości.

Za mało, za ciasno jeszcze odczuwamy naszą łączność, a jednak w tem odczuwaniu jest nasza potęga, nasza wartość, jak i nasza niewola i nicość. Czy jednak kształcenie tego odczuwania nie od nas zależy? A skoro potrafimy już odczuć, i milionami głosów wydzwonić to, co nam życie zaciemnia i usłonecznia, czyż *wszystkie* chmury i mroki znosić biernie musimy, jako narzucone nam z góry przeznaczenie?

Zwróćmy się tylko do tych warunków życia, które wytworzyliśmy sami w przeszłości czy w czasach obecnych; czy dobrze nam jest z niemi? Ludzie wszystkich wyznań, wszystkich światopoglądów zgadzają się na jedno, że życie jest ciężkim bojowaniem, a dopóki jest walka, dopóty nie doszliśmy do idealnego stanu rzeczy.

Do tej walki tak jesteśmy przyzwyczajeni, że nawet prawi chrześcijanie, zapominając o przykazaniu „nie zabijaj“, utrzymują, że dopóki ludzkość istnieje, dopóty istnieć muszą wojny, ten najbrutalniejszy, najdzikszy sposób rozstrzygnięcia sporów. Drudzy z całą szczerością dowodzą: „życie bez walki tak

by nas znudziło, że skończylibyśmy ogólnym samobójstwem,“ zapominając o niezmiernym obszarze uczuć, o ogromie zagadek, wobec których stoi obecnie nasza wiedza, o nieśmiertelnej sztuce wreszcie, które przedstawiają bajecznie wielki materyał życiowy.

Większość nareszcie ma czas tak zajęty walką o chleb codzienny, że po za nią nie już dojrzeć nie może. Ciepły kąć i sytość — oto całe jej szczęście. Szersze życie za ledwie muska tę większość, a to wydziedziczenie tak okrutnie niesprawiedliwe, jest najboleśniejszą naszą raną, najcięższym grzechem tych wszystkich, którzy się do niej w jakikolwiek sposób przyczynili. I wobec tej, odwiecznej krzywdy ogólnej śmiemy mówić o sprawiedliwości, o rozkwicie kultury naszej, o miłości bliźniego?

Praca na chleb powszedni jest nieodzowną koniecznością naszego życia, są też ludzie którzy dobrowolnie nie po za nią nie widzą.

Cóż jednak stało by się z nami, gdybyśmy tylko o chlebie powszednim myśleli?

Nie dla tej myśli żyli nasi bohaterowie, nasi uczeni i artyści, ci wszyscy, którzy nam prawdę i piękno ujawniali. Ale ani to piękno, ani te ułamki prawdy do większości ludzi jeszcze nie doszły, one są dla wszystkich przeznaczone i wszyscy mają do nich jednakie prawa.

Leżą odłogiem pola, bujnym chwastem porośłe i leżą martwo zdrowe ziarna do życia nie powołane.

W obec tej ogromnej, klęskowej niesprawiedliwości, coż znaczą nędzne, drobne zawody ludzi „nieuznanych“, co znaczą sobkowskie cierpienia ludzi dopuszczonych do pracy dla jakiegokolwiek idei — kiedy miliony istot skazano na wieczne milczenie, niezem już nie wynagrodzone, głosy ich stracone są dla nas niepowrotnie.

Czy przeznaczenie narzuciło nam tę ciężką krzywdę? Czy ono kazało tylu niewiadomym

siłom iść na marne? Czy naszą kulturą kierowały jakieś istoty z innej planety zesłe, czy też my sami wytwarzając ją, skrupowaliśmy się warunkami zabójczymi dla ogólnej, możliwej summy naszego rozwoju; a skoro czujemy niedobory chwili obecnej, czy nie możemy ich sami usunąć. Od kogóż one zależą jeśli nie od nas, i kto oprócz nas samych na nich cierpi?

Ale tak nas oplątała matnia bezmyślności i fałszu, że szukając własnego szczęścia zamykamy się szczelnie w naszych czterech ścianach, nie bacząc, że łączność musowa znosi wszelkie mury i rygle; i szukamy szczęścia w różnych fałszach, a kto mówi fałsz, mówi zagłada życia; szukamy go wreszcie w spoczynku kontemplacyjnym, jak gdyby mogło istnieć życie bez trudu, a w martwocie szczęście tkwić mogło. I wszystko zło daje nam los, dola, przypadek, przeznaczenie, wygodne majaki dla wątłych serc i umysłów.

Czemże wobec tych potęg jest człowiek, (który je wymyślił)? Zerową istotą, mogącą jedynie bezwładnie opuszczać ręce! Tkwi w nas zawsze ów dziki, oddający cześć gro-mom, bo nie znał ich przyczyny.

Fałsz i bezmyślność — oto dwa wrogi szczęścia, a wokoło nich skupiają się ich dzielni pomocnicy: tchórzostwo, zawiść i tysiącolorna niewiadomość. Więc szczerłość jest dla wielu synonimem barbarzyństwa, nie zaś najjaskrawszym promieniem życia, możność próżnowania, czyli wyłączenie się życia szczytem szczęścia — pesymizm, melancholia — dowodem wyższości ducha, dowodem nie nowożytnym w każdym razie, bo już w szóstym wieku przed Chrystusem Grek Theognis mawiał: „Kimkolwiek byłbyś, lepiej dla ciebie, abys wcale nie istniał.“

Wszyscy razem tacy biedni jesteśmy! I czyż nie przypominamy dzieci, które chwytają i psują wszystko, co im w ręce wpadnie, by potem gorzko oplakiwać własną niezręczność?

Opasane fosą, wałami, murem obronnym, wysunęło ciężką, grubą, ciosową wieżę nad zwodzonym mostem, która nazywa się „Deutsches Thor“, a że jest *deutsch*, więc i *plump*.

Na omszałych jej kamieniach przydałby się napis: *Noli me tangere*, — nie tykaj mnie!...

Nie wiem czemu przypominała mi się ciągle czekolada Meunier, kiedy przejeżdżał przez niemieckie pola chwały i pobojowiska; może dlatego, że przez całą Francję tak samo natrętnie rzucał mi się w oczy inserat tego fabrykanta, jak tutaj owe krzyże i pomniki zwycięstwa.

Na każdym murze i parkanie, na każdej ścianie domów i kamienic, w najmniejszej mieście zarówno, jak w Paryżu, dużemi niebieskimi literami musiałem koniecznie przeczytać: „Chocolat Meunier.“

Prześladowała mnie ona wszędzie aż do zniecierpliwienia, wciskała się do moich myśli i zaprawiała wrażenia smakiem kakaowym i czekoladową barwą.

— Dobrze już, — wołałem w duchu, umęczony tą nahałną reklamą, — przysięgam, że nie będę pił w życiu innej czekolady, tylko Meunier'a; wierzę, że niema na świecie lep-

szej, słodszej, pożywniejszej czekolady po za czekoladą Meunier'a; przyrzekam kiedyś w rozpacz utopić się w czekoladzie Meunier'a, jeśli mi życie gorzkie zbrzydnie, tylko niech mi na godzinę przynajmniej wypoczną znudzone oczy od widoku tych niebieskich liter ulicznego ogłoszenia!...

Zaledwie to wymówił, na najbliższym rogu błysnął mi znowu napis:

— „Chocolat Meunier.“

Nie pomogą żadne zaklęcia na taką reklamę, która sobie powzięła zterrorizować ludzi i dopiąć celu, działać na nich sugestją póty, aż w nich wmówi, że bez czekolady Meunier'a żyć nie mogą.

„Siło reklamy, ty dziś władasz światem; wytrwale, sprytnie walczysz inseratem, i ufna w swoje zwycięstwo na końcu, gotowaś afisz drukować na słońcu!...“

Odetchnąłem swobodniej, gdyżmy za sobą nareszcie zostawili Lotaryngię i wjechali na żyzną, malowniczą ziemię Palatynatu; płaskie dotąd równiny zaczęły się garbić, falować, płynąć jakby morskimi bałwanami.

Automobil, niby jaszczurka, przewijał się wśród zielonych, cienistych wawozów, bzykał

wesoło, jak chrząszcz majowy (o ile majowe chrząszcze bzykają) i katował się z górki na górkę lekko, zwinnie, wprawnie, jak gdyby tę drogę ze wszystkimi zawrotami i spadkami znał już na pamięć.

Śmigaliśmy przez lasy, winnice, ogrody i szumiące pola, słońce dopiekało, ale ani kropelka potu pomimo upału nie zabłysnęła nam na czole, bo i to jeszcze na pochwałę samochodu powiedzieć potrzeba, że jazda w nim nawet podczas kanikuły nie jest uciążliwą.

W tym szybkim pędzie, powiew powietrza ochładza cię nieustannie, jakby wraz z tobą jakieś usługne duchy leciały i niby indyjskiego radzę wachlowały ciągle swojemi skrzydłami z piór marabutowych.

Przez całą drogę, która nam wypadła w tropikalną piekę, nie czuliśmy wcale gorąca, tylko na postojach.

Gdyby Niobe miała była automobil, mogłaby ze swoimi synami uciec przed strzałami gniewnego Apollina; nie byłoby dla niej groźnym słoneczne porażenie.

Od Saarbrücken do Kaiserslautern pędziliśmy jednym tchem.



„Gdyby koń znał własną siłę nie dałby się bić, ani nawet zaprządz. A czy my mamy więcej świadomości swej siły od konia.

Jeśli znów duchom wyższym i jako takim czas swój wyprzedzającym, widok ziemi melancholią napełnia serca, czyż nie pora już, by otrząsnęły się z niej i zaczęły uświadamiać nas o naszej sile, usuwając kamienie z pod nóg strudzonych pokoleń, zasypując przepaście, przez naszych poprzedników wykopane?

Czyż nie pora już, by zajaśniały w każdym sercu słowa stare, z jaskrawej rzeczywistości wyjęte: „Kochaj bliźniego swego,“ jako konieczność życiowa, jako podwalina szczęścia?

Bo nie może ono być w kurczeniu sił naszych, ale w ich rozwoju, nie może ono być jedynie w korzystaniu z sił cudzych, ale w wykazaniu własnych; ani w odosobnieniu się, lecz we współczuciu, w stopieniu się z innymi: ani w gnębieniu życia innych, lecz w wywoływaniu jego rozkwitu; w pracy nad sobą, ale nie dla siebie; w szukaniu własnej drogi, nie zaś w rzucaniu się ślepem na najbliższe ścieżki; w dobroci dla nas dostępnej, nie w sprawiedliwości, której niczem ważyć nie zdołamy.

Stwarzajmy koło siebie szczęście, zamiast biernie spoglądać ku marom mglistym, czy zlitują się nad nami i rzucą nam jego okruchy. I czujmy szczerą własną, bo wtedy dopiero, gdy ona we wszystkich ustach gości; będziemy mogli obliczyć nasze siły i wiedzieć, ile dróg do szczęścia prowadzi i jaka summa szczęścia jest dla nas możliwa.

*Antonina Morzkowska.*



Ludzi mieszkających w stolicy tkackiego przemysłu, jak ja i mój przyjaciel, (w tym wypadku wolałbym być moim przyjacielem i mieć jego fabryki), takie Kaiserslautern nie może zdziwić, bo widzieli pięćset fabryk łódzkich, chociaż ono się słusznie chełpi nazwą jednego z najbardziej przemysłowych miast niemieckich; furczą w niem wprawdzie tysiące kołowrotów po przedziałach; warsztatów tkackich mnóstwo snuje także płócienna, perkale, sukna i sukienka, ale to dla dwóch Łódzian w podróży tyle znaczy, co... „Chocolat Meunier.“

Ja przynajmniej wolałem, zamiast zwiedzać składy i fabryki, przyglądać się oswojonym zórawiom na dziedzińcu hotelowym i wypytywać je, czy nie pochodzą przypadkiem od zórawiów Ibikusa i czy nie słyszały kiedy o niejakim panu Fryderyku Schillerze, który o nich swego czasu piękną balladę napisał, a którego dom mieliśmy dziś jeszcze zobaczyć w Mannheimie nad Renem, gdzie jako młody poeta pierwsze swoje sztuki wystawiał w miejscowym teatrze.

Okazało się jednak, że niemieckie zórawie nawet o swoich największych poetach nie

Jan Stanisław Mar.

## BLADĄ JESIENIĄ.

SZKIC DRAMATYCZNY W 1-ym AKCIE.



(Ciąg dalszy).

SCENA III-ia.

**Wirski, Stefan,** po chwili **Janina** i **Witold.**

**Wirski.**

Pan doktor jest kolegą pana Witolda?

**Stefan.**

Przyjacielem, skończyłem cztery lata wcześniej.

**Wirski.**

Pan Marchwicz to dzielny człowiek!... Takeśmy go polubili z córką, przywiązałem się do niego, jak do syna, jak do rodzzonego dziecka... Niezmiernie jestem wdzięczny profesorowi Karwickiemu, że zeszłego roku, gdyśmy wyjeżdżali do Włoch, polecił nam właśnie jego. Bo pan chyba wie, że pan Witold był razem z nami, nie chciałem pozostawać z córką bez stałej opieki lekarskiej.

**Stefan.**

A wiem, wiem... Witold wyrażał się zawsze o panu i córce pańskiej z największą przyjaźnią i szacunkiem...

**Wirski.**

Bardzo się z nim zżyliśmy, bo to człowiek nadzwyczaj sympatyczny, przytem miał tak zbawienny wpływ na Janię; tak potrafił jakoś zwalczyć każdy jej kaprys, tak jej wszystko wyperswadował, że robiła, co zechciał, jak dziecko, jak dziecko... To też nie umiem sobie wytłómaczyć tego nagłego usunięcia się.. Ja, gdy tu po powrocie z zagranicy dojeżdżał, panu, jako przyjacielowi jego, mogę to

otwarcie powiedzieć, dawałem mu do zrozumienia, że przyjaźń nasza dla niego z chwilą powrotu do kraju będzie trwać, jak trwała, że będzie u nas zawsze mile widziany, nie tylko w roli lekarza, ale jako przyjaciel... zresztą w każdej roli, bo to przecież i dzielny i sumienny człowiek, i z sercem, a to najważniejsza... Bo dla mnie, kochany doktorze, pieńdz, stanowisko, nie mają żadnego znaczenia. Sam jestem, chwała Bogu, zamożny, mam jedno dziecko i więcej nikogo, nikogo... Panie, dwadzieścia dwa lata jakem owdowiał i żyłem tylko dla córki... Tak, panie... To też pan Witold... Tymczasem... jego nagłe usunięcie się.

**Stefan.**

Witold bardzo jest zajęty w ostatnich czasach...

**Wirski.**

No dobrze, dobrze... Ale tak nagle... jak gdyby zerwał... Dawniej przyjeżdżał; przecież to wszystkiego dwie godziny drogi od Warszawy; pisywał, a tu w ostatnich czasach...

**Stefan.**

No tak, ale teraz...

**Wirski.**

Czyby go Jania czem uraziła?... Ale, jeżeli nawet tak jest, to powinien jej wybaczyć, przecież to chora, a chorzy są tacy kapryśni... A może rzeczywiście tak zapracowany?

**Stefan.**

A tak, pracuje w ostatnich czasach wiele (z pewną powstrzymanywą chwiejnością) przytem narzeczona...

**Wirski.**

Narzeczona?... Jako?... Pan Witold ma narzeczoną?

**Stefan.**

To pan nie wiedział?... sądziłem...

**Wirski** (padając ciężko na fotel)

Od kiedy?... Z kim się zaręczył?..

nie wiedzą, i że od „Dziewicy Orleańskiej“ więcej je zajmują błyszczące buty hotelowych gości, którym się przyglądają tak ciekawie, jakby sobie podobne sprawić chciały i nałożyć w niedzielę na swoje długie, patykowatennogi.

Zauważyłem, że ludzie i ptaki na wysokich nogach mają najczęściej miny poważne, zamysłone i dziwnie spokojne, stąpają powoli i rozważnie, pochylają głowy melancholijnie i dumają. Bóg wie o czem, tylko zórawie, bociany, strusie i czaple mają zwyczaj podnosić przy tem jedną nogę i chować ją pod skrzydła, czego ludzie nie robią z tego zapewne powodu, że im trudniej, niż ptakom utrzymać równowagę.

Jeżeli ta obserwacja nie jest bardzo głęboką, o co zresztą spierać się nie myślę, to w każdym razie jest oryginalną i moją własną, a nie chciałbym pomiędzy automobilistami uchodzić za takiego ignoranta, który w podróży niczem innem się nie zajmuje, tylko swoją maszyną, zegarkiem i pedometrem.

Do Mannheimu, u zlewu Renu z Neckarem, (*Gaudeamus igitur* trzeba spiewać na widok Neckaru, bo człowiekowi zaraz Heidelberg

się przypomina), jedzie się przez Ludwigshafen, który długi most, jak żelazną prawicę wyciąga do swego sąsiada i powiedzieć można, że trzyma się z nim za rękę, jak Praga z Warszawą.

Ludwigshafen?... aha! wiem tylko, że w roku 1814-tym Rossyane tutaj przez Ren się przeprawiali, a mój przyjaciel, który wie wszystko, jak Encyklopedia, nie odwracając głowy w bajecznej czapce z okularami od kurzu, (bez takiej czapki żaden porządny automobilista nie puści się w drogę), objaśnił mnie jeszcze, że tutaj największe na całą Europę są fabryki farb anilinowych.

Być może, ale co mnie to obchodzi o pół kilometra od Mannheimu, gdzie mieszkał Schiller, który wyrabiał także farby, tylko cudowne, zaklęte farby, które geniusz poety maluje całe światy niestworzone, a przed którymi tacy entuzyaści, jak ja, gotowi upaść na kolana a zwyczajne filistry otwierają gęby!... Prędej tedy, do Mannheimu!

*Quis.*

(Dokończenie nastąpi).



**Stefan.**

Parę miesięcy temu, z panną Heleną Tarnowską.

**Wirski.**

Któż to jest?

**Stefan.**

Nauczycielka, poznali się po powrocie Witolda z zagranicy.

**Wirski.**

A kiedyż ślub?

**Stefan.**

W końcu tego miesiąca.

(We drzwiach werandy ukazują się Janina).

**Janina.**

Ojczel!

**Wirski** (wstaje i pomaga jej zejść ze schodów)

**Janina** (radośnie)

Mówił mi Józef, że pan Witold przyjechał.

**Wirski** (stara się opanować)

A przyjechał, córuś, przyjechał... Pozwól, to jest właśnie kollega pana Marchwicza, także lekarz, pan Skarski.

**Janina.**

Bardzo mi przyjemie. (zwracając się ku stojącemu w progu Witoldowi). A... otóż i przyszyła chluba naszej medycyny albo literatury!

**Witold** (podbiega ku Janinie i całuje ją w rękę)

Witam najgrzeczniejszą i najposlušniejszą z moich pacjentek (spojrzawszy w twarz Janiny, urywa i przerażony mówi sztucznie wesoło) Wyglądamy znakomicie, no, a jakże się czujemy?

**Janina** (ciężko oparta o ramię ojca)

Także znakomicie! Nie widzi pan, tak silna jestem, że nawet ojcu służę za podporę! (Chwila przykryj, naprężonej ciszy. Janina zlekka pokaszkuje, jak zresztą podczas całej tej i następnej sceny).

**Wirski.**

Ale ja panów przeproszę, muszę wydać niektóre dyspozycje. Janiu, wejdź w rolę gospodyni domu! (odchodzi).

**Janina** (sztucznie wesoło do Witolda)

Panie Eskulapie, proszę mi podać ramię! (kieruje się ku drzwiom). Albo może tu zostanie my?... Takie piękne słońce!

**Witold.**

Jak sobie pani życzy, tylko nie wiem, czy nie będzie dla pani za chłodno?

**Janina.**

Nie, zresztą tu leży pański pled, pamięta pan, tak zawsze lubiłam pański pled, to się nim okryję i przypomnę sobie włoskie czasy.

**Witold** (okrywa jej nogi pledem, sam siada obok na krzeselku).

**Janina** (do Stefana)

Niechże doktor siada...

**Stefan.**

Dziękuję pani, ja sobie pospaceruję. Śliczny park macie państwo. (Przechadza się).

**Janina.**

A tak, ale cóż kiedy nie mogę nim się rozkoszować, bo chodzenie mnie męczy... I cóż, panie Witoldzie?... Mogłabym już zapomnieć, jak pan wygląda...

**Witold** (sztucznie)

Dowiedziałem się od ojca, panno Janino, że pani strasznie kaprysi. To nieładnie, to

niegrzecznie, wstyd mi pani przynosi, muszę się za panią rumieniść. Zapowiadam więc, że jak się pani nie poprawi, to jej zaraz zapiszę to niedobre brązowe lekarstwo.

**Janina** (rozjaśnia się zwolna)

A co? Co takiego?

**Witold.**

O, niewiniątko, baranek wielkanocny!

**Janina.**

Nie wie wiem, jak mamę kocham, jak kocham wspomnienie... Włoch!

**Witold.**

Braun każe jechać, to jechać! Zrozumiano?

**Janina.**

Nie zrozumiano!

**Witold.**

No, czy nie mam racji! Ee, jak widzę, tośmy zupełnie zapomnieli o subordynacji. Zapomnieliśmy o tem, cośmy kiedyś mówili.

**Janina.**

A co? O czym? O czym?

**Witold.**

No, czy nie przypominamy sobie, jakieśmy mówili zawsze, że najgroźniejszym dla nas człowiekiem, a zarazem jedynym autorytetem był zawsze doktor? No, co?

**Janina.**

Owszem, pamiętam, pamiętam... Ale cóż, odkąd doktorzy stali się niesumiennymi, zaczęli zapominać o pacjentach, (coraz ciszej) zaczęli ich zaniedbywać, zaczęli miast leczyć... zabijać ich niewytlómaczoną, nagłą obojętnością, stracili w oczach moich niezłomność autorytetu.

**Stefan** (zbliżając się)

Przepraszam, ale z obowiązku, jaki nakazuje mi mój zawód, domagam się, by konsultacya prowadzona była w poważniejszym tonie.

**Witold.**

Tak, kollega Skarski ma rację. (poważnie) A więc, panno Janino, mówię zupełnie seryo, że powinna pani i wyjedzie bezzwłocznie do Arco.

**Stefan** (który się upoczywie wpatrywał w Janinę)

Tak jest, bezzwłocznie, w ciągu kilku dni. Sądząc z tego, co mówił mi o pani Witold, i z tego, co widzę, uważam także natychmiastowy wyjazd pani za konieczny.

**Janina.**

Jakto, tak bez badania stawia pan dyagnozę (z gorzką ironią) tak bez pulsu, bez młoteczka, bez termometru?...

**Stefan.**

Witold pokazywał mi recepty... Zresztą stan pani jest dla mnie zupełnie jasny.

**Janina** (z przerażeniem usuwa się w głąb fotelu)

**Stefan** (spiesznie)

Niechże pani nie przypuszcza, że chciałem przez to powiedzieć, że uważam go za groźny.

**Janina** (opanowawszy się)

Ja nie już nie opieram na przypuszczeniu... Ach, możebyśmy przerwali to *consilium facultatis*, bo mnie zaczyna nużyć. Powrócimy jeszcze do tego tematu, powrócimy...

**Witold.**

Ale musi pani przyrzec, że pani wyjedzie.

**Janina.**

Cóż u pana słyhać, panie Witoldzie?

**Witold.**

No, przyrzeka...

**Janina.**

Takeśmy się długo nie widzieli, niechże pan opowiada. (do Stefana) Panie doktorze, możeby pan ca przekąsił?

**Stefan.**

Nie, dziękuję pani, nie jestem głodny.

**Janina** (do Witolda)

Dlaczegoż pan nic nie mówi? Po tak długim niewidzeniu niema mi pan nic do powiedzenia?... Nic?

**Witold.**

Cóż mogę pani powiedzieć?... pracuję, pracuję i jeszcze raz pracuję.

**Janina.**

Taki jestem zapracowany, że od miesiąca nawet paru słów nie mogłem napisać... Dziwię się, że znalazł pan czas na dzisiejsze odwiedzinę.

**Witold.**

Ach, panno Janino...

**Janina** (wzdychając)

Tak, tak... A ja mam panu tyle ciekawych rzeczy do opowiedzenia (urywa i patrzy niecierpliwym wzrokiem na Stefana), tyle ciekawych rzeczy.

**Witold.**

Słucham, słucham.

**Janina** (patrząc j. w na Stefana)

E, kiedy widzi pan, tego nie można powiedzieć tak głośno. Nie są to żadne zwierzenia, bo zkażdęby, ale zawsze...

**Witold** (błaga oczyma Stefana by został)

**Janina** (do Stefana)

Doktor mi wybacz, ale muszę pomówić z panem Witoldem o pewnej sprawie... Doktor daruje ten nietakt pannie z towarzystwa, wzięwszy pod uwagę jako okoliczności łagodzące... ostatnie stadyum suchot. O, właśnie ojciec. (do Wirskiego) Ojczulku, oddaję mu pod opiekę doktora, bo muszę zostać sam na sam z moim domowym lekarzem.

**Wirski i Stefan** wychodzą w głąb domu, zamykając za sobą drzwi werandy; przyczem Wirski chwilę niepewny zatrzymuje się w progu, poczem machnąwszy ręką wchodzi.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Przegląd teatralny.



Oś sceny warszawskiej. — Kamiński-Cezar. — Warszawa w zachwycie. — Wielka praca i wielki artysta. — Pogłębiona dusza aktora. — Jego oblicze. — Debiut. — Kalejdoskop ról. — Rozmaitość typów. — Bogactwo inwencji. — „Margrabia de Priola.” — Wymowa artystów lwowskich. — Pani Irena Sol-ska. — „Śnieg” Przybyszewskiego.

Scena warszawska w ciągu dwóch z górą miesięcy kręci się około jednej osi, a tą jest gość lwowski, znakomity artysta: p. Kazimierz Kamiński. Może on o sobie powtó-



żyć Cezarowe słowa: *Veni, vidi, vici...* Niktby był nie przypuszczał, że Warszawa, przyzwyczajona do innego rodzaju gry, wychowana na tradycyi dawnej szkoły aktorskiej, potrafi tak sprawnie i ocenić i tak gorąco przyjąć przedstawiciela nowej szkoły, wyznawcy świeżych w sztuce odtwórczej hasel.

I nie była to chwilowa moda, nie był to kaprys zmiennych upodobań, ale szczere odczucie prawdziwego talentu, który przemówił do nas wszystkimi przymiotami bobatej swej natury.

P. Kamiński przez lat kilkanaście pracował usilnie i wszechstronnie nad zdobyciem tego stanowiska artystycznego, które obecnie posiada. I tylko taka długa, mozolna praca, tylko to wyteżenie wszystkich władz swego ducha w jednym kierunku, mogło doprowadzić do takich świetnych wyników.

Trzeba było przejść przez to całe piekło walki o chleb czarny na prowincyi; trzeba było tysiąc ról przetrwać w sobie, wniknąć w tysiąc postaci, aby dojść do tak doskonałej intuicji, do tej prawdziwej wrażliwości artystycznej, która pozwala z równym skutkiem wcielić się w „Margrabiego de Priola,” jak w... Fajarkiewicza z Mościsk.

Skoro się zastanowimy, iż to ogromne, prawdziwie wyjątkowe powodzenie, zjednał sobie nie bohater-aktor, ale czysty „charakterystyk” — o pogłębionej duszy — to musimy przyznać, iż mamy do czynienia z oryginalną, potężną indywidualnością, która — zdaje się — niemożliwość samą uczyniła możliwą.

P. Kamiński tedy panuje przez lato, podczas największych upałów, nad publicznością warszawską i tłumami ściągają, przykuwa ją poprostu do teatru. Nigdy nie było takiej frekwencji, nigdy dochody Teatru Letniego nie dawały takich plusów, jak dziś, kiedy na scenie zjawił się mistrz taki.

Przyjrzyjmy się tej ciekawej fizygnomii. Na pozór — nie obiecującego. Skromny, szczupły, bez tych imponujących warunków scenicznych, które same przez się wywierają już pewne wrażenie.

Ale niech tylko wejdzie na scenę, niech nam stworzy człowieka, — nie poznajemy go, bo osobistość jego gdzieś się w tej chwili zapodziała, zniknęła, a staje przed nami kreacja żywa postaci dramatu. Przysiągłbyś, że to kto inny, że to może sam bohater sztuki niespodzianie przybył, aby się ukazać publiczności.

Debiutuje w Warszawie w sztuce Kaweciego p. t. „Dramat Kaliny.” Daje nam typ nowy, postać świeżą, u nas nieznaną. Rozwijają nerwową akcję na scenie, niepokojącą, ale i zajmującą widza. Wypełnia sobą każdą chwilę; nie puszczonego na wolę losów: szczegół zmienia szczegół w konsekwentnej ewolucji roli, ruchy wszystkie, gesty, mimika mają swoją podstawę psychologiczną i usprawiedliwienie niewątpliwe. Publiczność, zelektryzowana tą grą, nie posiada się z zapału, wita artystę z wylaniem najgorętszych uczuć; oklaski jak burza rozlegają się w sali — i to nie jednego wieczoru — powtarzają się za każdym razem, na tej samej sztuce, granej kilkakrotnie z nieśląbnącym zgoła powodzeniem.

Zmienił się dramat, zmienił się do niepoznania artysta. Teraz gra Mouzóna w „Czerwonej tódze” Brioux’a. Jest sędzią śledczym, przenikliwym, bystrym, choć jednostronnym. Kazał sobie uwierzyć w winę człowieka niewinnego — i tak bada nieszczęśliwego, tak go do muru przyciska, takie nań sieci zastawia, że w końcu, kto wie? może istotnie wierzy, iż niewinny jest winnym... Podziwiamy inne oblicze w artyście, inny sposób prowadzenia rozmowy... Nie, to musi kto inny grać tego przebiegłego Mouzóna... Tymczasem to nie „ktoś inny,” — to tyl-

ko przekształcony znakomicie w nowy typ, ten sam niepospolity artysta. P. Kamiński dopełnił rolę, pogłębił ją, wydobył duszę na zewnątrz... Przemówił do nas aktor-twórca.

Galerya się mnoży, rośnie w naszych oczach, nabiera potężnych rozmiarów. Oczywiście nie mogą w tej galerii być wszystkie rzeźby jednej wielkości, jednego wymiaru. Ale wszystkie godne są najwyższej uwagi, wszystkie noszą na sobie piętno wielkiego talentu. Ibsenowski Borkman Kamińskiego, jak się wyraził pewien krytyk, może nie miał „ideowej transpozycji” tej postaci, lecz wzruszał głębią uczucia i dziwił mistrzostwem dobranych znamion szczególnych. I tu był artyzm najczystszej wody, jak brylant.

Po epizodycznych, jakby dla wypoczynku odegranych rólkach: Hilarego w „Marcowym kawalerze” Blizińskiego, gdzie dał żywy portret Oskara Kolberga, i Fajarkiewicza w „Domu otwartym” Bałuckiego, p. Kamiński zabłysnął świetną kreacją w sztuce Lavedana, p. t. „Margrabia de Priola.”

Utwór ten wywołał sprzeczne zdania i został słusznie odsądzony od wybitnej wartości literackiej. Jest to sobie sztuka, jakich wiele, napisana dla potrzeby repertuaru mieszczańskiego, pełna paradoksów, usiłujących przedstawić się w świetle życiowej mądrości. Tym „filozofem” jest tytułowy bohater sztuki, margrabia de Priola, nihilista moralny i społeczny. On to w ciągu sztuki wygłasza teorię życia, powziętą z własnej praktyki, która powinna była się streścić jako przydomek margrabiego: „bez cześci i wiary.”

Taką jest wartość sztuki, ale wartość gry p. Kamińskiego, to zupełnie co innego.

Przyznam się, że mi w tej roli najwięcej przypadł do smaku. Ma gest pański, obejście wytworne, swobodę nieskrępowaną, mówi wykwiennie, z pewną wyniosłością, bez szarży; ruchy lekkie, zaokrąglone w liniach, eleganckie; krok chwilami trochę chwiejny, wskazuje, że w głębi organizmu margrabiego rozwija się choroba, która go na ziemię powali.

To ogólny zarys postaci, wycieniowany subtelnie w szczegółach. Najpierw — w dykcji. Kamiński, to wzór pięknej wymowy, która na scenie jaśnieje wszystkimi pięknosciami naszego języka. Wymowa ta posiada żywość słowa, płynność zdań, szybkość lotnej myśli, zawiera w sobie wszystkie odcienia różnych tonacji, podnoszeń i ciszeń głosu, zachwyca bogactwem kolorytu... Słuchałoby się artysty mówiącego na scenie — bez końca, to muzyka żywego słowa, niepodrobiona a melodyjna i zrozumiała dla każdego.

W „Margrabim de Priola” p. Kamiński ma sposobność do rozwinięcia wszechstronnego tego wirtuozostwa swego, którem się tak znamienne z pośród artystów dzisiejszych wyróżnia — i przypomina najświetniejsze złote czasy wymowy scenicznej Królikowskiego i Łólkowskiego. W takich wymownych ustach, nawet paradoksy margrabiego nabierają cech prawdy. Cała rola zresztą, misternie wyrzeźbiona przez artystę, ujmuje i od początku do końca przykuwa do siebie uwagę widza.

Nic też dziwnego, że sztukę dano u nas 16 razy przy wyprzedanym teatrze!...

Owa koronkowa robota artystyczna, w opracowaniu postaci scenicznej, uwydatniła się z nieminiejszą pomysłowością w komedii niemieckiej, p. t. „Bogaty wujaszak” Karlweissa. Był to znowu inny typ, do poprzednich wcale niepodobny, jeszcze dosadniejszy w plastyce wyrazu, jeszcze bogatszy w szczegóły.

Prześliczna dykcja jest widocznie piętnem znamienne artystów lwowskich, stwierdzi-

liśmy bowiem świeżo nowy jej niepospolity przykład.

Do Warszawy, na zaproszenie reżysera głównego, p. Ludwika Śliwińskiego, przybyła ze Lwowa artystka sceny tamtejszej, p. Irena Solska. Wystąpiła w sztuce Przybyszewskiego, p. t. „Śnieg,” w roli Ewy. I znowu ze sceny naszej popłynęło to piękne żywe słowo, którem już poprzednio uszy nasze pieścił p. Kamiński. Wymowa czysta, wyraźna, prosta, bez spiewnych akcentów i przeciągania zgłosek, dobitna, jędrna, orzeźwiająca, pociągająca i zniewalająca. P. Solska celuje tą wymową i zdobywa nią słuchacza od pierwszych zdań, wypowiedzianych na scenie.

A przytem — tworzy.

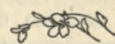
Jest w jej Ewie, zjawiającej się w „Śniegu,” jak uzmysłowienie symbolu, taki głęboki wyraz, taka siła w skupieniu gry, ześrodkowanej w oczach i głosie, pozbawionej zewnętrznych efektów gestykulacji.

Głowę artystki widać jak się ukazuje z za kotary, tylko tę głowę smutną, z której dwa spojżenia bezdenne, jak otchłań, pociągają ku sobie.

Potem przechodzi przez scenę powiewna, senna, widmowa — prawdziwe wcielenie symbolu. Cały dramat jest symbolem, więc i gra w nim musi być symboliczna, taka właśnie, jaką rozwinęła przed nami po mistrzowsku p. Solska. Nastrój tej gry technicznie tajemniczą energią, która niby prąd elektryczny płynie ze sceny do sali i łączy artystkę w nieprzerwany łańcuch z widzami, zahypnotyzowanymi magiczną potęgą wyjątkowego talentu.

I rzecz szczególna, te dwie wielkie indywidualności artystyczne, Kamiński i Solska, wyhodowane na gruncie krakowskim i lwowskim, wyrosły w Warszawie i tu, wśród nas czerpały pierwsze soki żywotne do swej kultury. Dziś ta para artystów ofiaruje nam swych myśli i uczuć kwiaty, a Warszawa dumna z takich dzieci, sypie na ich głowy liście wawrzynu. Dobrze było im z nami i — nam z nimi..

Adam Dobrowolski.



## Kronika działalności kobiecej.



— Pani Marya Zaremba-Słupska, prowadząca przy Muzeum przemysłu kurs rysunku oraz malarstwa i sztuki dekoracyjnej, otwiera z dniem 15-go Września r. b. własną szkołę pod nazwą: „Szkoła rysunku, malarstwa i dekoracji dla kobiet,” — Nauka w szkole odbywać się będzie codziennie od 10-ej rano do 1-ej po poł. i od 5-ej do 8-ej wieczorem.

Pani Zaremba-Słupska prowadzi przy Muzeum przemysłu kurs rysunku oraz malarstwa i sztuki dekoracyjnej i na wystawie prac uczniów i uczennic, urządzonej staraniem Muzeum w miesiącu Czerwcu, zaszczytnie przedstawiła wyniki swego kierownictwa, o czem obszernie pisaliśmy w Nr. 27-ym naszego pisma. W numerze dzisiejszym, na pierwszej stronie dodatku, pomieszczamy reprodukcje kilku prac na wystawie owej wyróżnionych.

— Z Kassy samopomocy dla kobiet pracujących.

Wiadomo jak wielką trudność w życiu pracownic stanowi brak możliwości zbytu gotowych wyrobów, które nieraz długi szereg miesięcy czekają na szczęśliwą sposobność znalezienia nabywcy. Zarząd Kassy, pragnąc tym trudnościom przeciwdziałać, skorzystał z § 22 ustawy i postanowił utworzyć nowy wydział samopomocy, którego zadaniem będzie właśnie sprzedaż wyrobów uczestniczek Kassy.



## Nasz ul.



Otworzenie własnego sklepu, magazynu, po- ciągałoby za sobą wydatki nadto uciążliwe, dla uczestniczek wprost do poniesienia nie- podobne, urządzenie zaś sprzedaży w kance- laryi Kassy, pod dozorem i przy pomocy członków Zarządu, nie będzie uczestniczek narażało na żadne ciężary i kłopoty.

A zatem, poczynając od 1-go Października r. b. sprzedaż odbywać się będzie codziennie w kancelaryi Kassy od godz. 11-ej z rana do 8-ej wieczorem.

Uczestniczki, pragnące korzystać z pośre- dnictwa wydziału, proszone są o składanie adresów i ofert, z dokładnem wymienieniem rodzaju wyrobów, ich liczby, cen i w ogóle wszelkich wskazówek, jakie przy podobnej działalności dla kierujących są niezbędne.

Kierunek i dozór nad tym nowym działem pracy zarządu objęły panie: Zofja Seidlerowa i Józefa Starzyńska.

Śmiało rzec można, iż zadanie, jakie przy- jął na siebie Zarząd Kassy, jest istotnie do wykonania bardzo trudne. Sama sprzedaż wprawdzie wydaje się sprawą łatwą, lecz po za nią idzie operacja druga, zaliczeń na zło- żone przedmioty, a dalej różne małe niepo- rozumienia, niezadowolenia, wynikające z po- trzeby gotówki, pożądań jaknajszybszej i naj- korzystniejszej sprzedaży, z różnic w ocenie wyrobów i t. p. Tem goręcej przeto zasłu- guje na uznanie to usiłowanie Zarządu przy- scia z pomocą uczestniczkom i mamy nadzieję, że wkrótce owocne wyda wyniki. — Pierwszy miesiąc może najmnijmniej nie przynieść ko- rzysci, lecz tem zrażać się niewolno. Każda rzecz musi „wyrabiać się“, torować sobie drogę, z jednej strony uczestniczki będą musiały uczyć się cierpliwości, punktualności w do- starczaniu zamówionej przez zarząd roboty, obok niezmiernej sumiennosci w wykonywa- niu tejsze, z drugiej znów strony, Zarząd pra- cować będzie musiał usilnie nad zdobyciem zaufania coraz szerszej publiczności. Gdy zaufanie to, zależne głównie od jakości pracy uczestniczek, zdobyte zostanie, skromny zrazu zakres nowej działalności Zarządu zamieni się może na bardzo ruchliwy i rozgałęziony, i może stać się dla uczestniczek prawdziwym rynkiem zbytu na ich wyroby. Kto wie, czy nie doprowadzi z czasem do otworzenia wła- snego sklepu, który już wtedy otworzyć by- łoby można bez obawy.

Govliwa działalność Zarządu Kassy ujawnia się i w innym jeszcze kierunku. Uzyskał on od jednej z czytelni w naszym mieście znacz- ne obniżenie ceny za wypożyczenie książek dla uczestniczek Kassy. Pragnące korzystać z tego udogodnienia, za okazaniem książeczki kassowej, opłacać będą za wypożyczenie książ- żek tylko po 7 kop. tygodniowo.

— Saksonia. Od 1-go Lipca roku bie- żącego wprowadzono w Saksonii kobiety na posady inspektorów fabrycznych. Na każdy okręg przypada jeden inspektor-kobieta, a obo- wiążkiem jego jest rozciąganie pieczy nad dziećmi pracującymi w fabrykach. Pierwszym okręgiem, w którym panna Tayer została pierwszym fabrycznym inspektorem, jest okręg Zwickau.

— Stany Zjednoczone. Kobieta ja- ko genjusz finansowy. Jednym z najwybit- niejszych umysłów finansowego świata Ame- ryki jest Miss Katarzyna Harrison, proku- rent wielkiego kapitalisty H. H. Bogers, głów- nego akcyonaryusza Towarzystwa „Stan- dard Oil Company.“ Miss Harrison ma pra- wo podpisu i decyzyi w milionowych przed- siębiorstwach Towarzystwa, a wynagrodzenie jej, oprócz tantiemy od przeprowadzonych interesów, wynosi rocznie 30,000 dolarów. Znakomita finansistka wstąpiła przed laty jako 18-letnia, skromna stenografistka do in- teresu, którego ster dziś ujęła w rękę.

Z. S.

— Wobec ciężkich czasów obecnych, działalność insty- tucyi pośredniczenia w wyszukiwaniu pracy, kierowanej przez ks. Kirchnera, wielkie społeczeństwu oddaje usługi i zasługuje na wybitne wyróżnienie. Niesie ona pomoc skuteczną, szuka posad i zaleca kandydatów na zajęcia wakujące, wreszcie stworzyła specjalny oddział, zajmujący się przyjmowaniem zamówień na roboty, które rozdaje najbardziej potrzebującym, ułatwiając zarazem nabywanie narzędzi pracy. Wydział ten, istniejący przy ulicy Nowo- grodzkiej, pod Nr. 37, kierowany przez szczerze oddanego sprawie, ks. Gąsowski, stał się prawdziwą deską ocala- nia dla wielu rodzin ubogich, wykolejonych z normalnych warunków zarobkowania przez ciężkie przesilenie przemy- słowo-handlowe. Mężczyznom rzemieślnikom, kobietom pracownicom igły, dziewczynkom, mogącym już wykony- wać robotki szydelkowe, daje materiały do roboty, każe z nich przygotowywać różne przedmioty i potem je sprze- daje po sklepach i wśród osób prywatnych. Wyroby są ta- nie i dobre, sprządać je więc nie trudno. W ostatnich cza- sach ks. Gąsowski zajął większość pracowni wyrobem przedmiotów popytu sezonowego, zakupił za kilkadziesiąt rubli materiałów na mundurki pensyonarskie i fartuszki i każe przygotować około 20-tu sztuk na próbę. Próba się udała. Mundurki i fartuszki są uszyte dobrze, starannie i kosztują tanio. Kilka sztuk już sprzedano, reszta czeka na nabywców.

Ks. Gąsowski odwołuje się do rodziców, którzy w tych dniach, wobec rozpoczynającego się roku szkolnego, czynić będą zakupy dla swoich córek. Niechaj pamiętają, że do instytucyi przy ul. Nowogrodzkiej pukają o pracę i za- robek setki rodzin.

Przedmioty, o jakich mówimy, można też w biurze po- średniczenia w wyszukiwaniu pracy, zamawiać z naznace- niem terminu.

— Muzeum przemysłu i rolnictwa zostało wzbogacone wspaniałym darem. Otrzymało bardzo bogatą kolekcję owadów i motyli, rozklasyfikowanych i naukowo ponazy- wanych. Kolekcya mieści wszystkie okazy krajowe i znaczną liczbę owadów i motyli egzotycznych, do tychże samych klas należących. Ofiarodawcą jest sędziwy dzielnik, Karol Jurkiewicz. Muzeum, dodającwszy do nich zbiory, ofiaro- wane dawniej przez d-ra Czackiego i przez s. p. profesora Ślósarskiego, oraz innych, odda je na użytek publiczny.

— W jesieni roku bieżącego Towarzystwo Hygieniczne przystępuje do urządzenia Wystawy gospodarstwa domo- wego. Program jej, zastosowany do życia praktycznego, opracował d-r Polak i przedstawił władzom miejscowym do zatwierdzenia. Obejmuje on punkty następujące:

Okazy, dotyczące domów mieszkalnych, jako całości, plany domów mieszkalnych, modele. Wzory schodów i klatek schodowych. Urządzenie podwórzy. Śmietniki i ustępy. Wentylacja i ogrzewanie domów, wentylatory. Piwnice, sutereny i poddasza. Oświetlenie sztuczne. Okazy, tyjące się pokoiów mieszkalnych. Farby do malowa- nia sufitów, ścian i podłóg. Obicia. Chodniki. Dywany. Meble. Sposoby przytwierdzania obrazów i ozdoby ścien- ne w ogóle. Sposoby oczyszczania ścian, sufitów, podłóg, dywanów, mebli. Przyrządy zabezpieczające od wypad- ków przy myciu okien i t. p. Oświetlenie mieszkań: lam- py, świece i t. p. Kuchnia i spiżarnia. Sprzęty kuc- henne: stoły, lodownie, trzony kuchenne, Kuchenki elek- tryczne, gazowe, naftowe, benzynowe. Garnki, rondle, formy, sposoby i naczynia do przechowywania pokarmów się odnoszące. Lodownie. Noże, widelce, łyżki. Szkło i porcelana kuchenne. Specjalne przyrządy kuchenne i sprzęty. Oczyszczanie naczyń. Serwetki. Bielizna ku- chenna i stołowa. Odzież kucharska i t. p.

— Zamknięte na czas letni, z powodu odnawiania lokalu, „Schronisko“ dla dzieci wdów po rzemieślnikach i robot- nikach, mieszczące się przy ul. Aleksandrya Nr. 17, zno- wu od paru tygodni przyjmuje dzieci mieszkańców Powi- śła, a głównie parafii Ś-go Krzyża.

Przytulek ten jest pierwszym u nas; powstał z inicjaty- wy przełożonej sióstr miłosierdzia, wielebnej matki Augusty Sikorskiej w r. 1896 i pierwotkowo mieścił dzieci 30.

Do Schroniska przyjmowane są dzieci od 1½ roku do lat 5, z całodziennem utrzymaniem pozostają one pod opie- ką siostry miłosierdzia. Matki, idąc do roboty, przypro- wadzają dzieci o 7-ej rano, odbierają zaś późnym wieczo- rem. Obecnie schronisko utrzymuje dzieci 65 z ofiarności

pań opiekunek. Główną ofiarodawczynią i opiekunką jest p. Marya Schlenkierowa.

— Przed trzema laty założone w Zakopanem „Schronie- nie dla nauczycielek“, dzięki ludziom dobrej woli rozwija się coraz lepiej, aczkolwiek nie zdołało jeszcze pozyskać dla swoich celów tak licznego zastępu nauczycielek, jaki pozy- skać powinno. Z ogłoszonego za rok ubiegły sprawozda- nia, dowiadujemy się, że Stowarzyszenie liczy już przeszło 500 członków, a dochód wynosił w tymże roku 8,020 kor. Prócz tego posiada 867 kor. kapitału żelaznego i 1481 ko- ron na budowę własnego domu. Celem Schronienia jest niesienie pomocy nauczycielkom, potrzebującym kuracy klimatycznej i ułatwienie im pobytu w Zakopanem. Sto- warzyszenie mieści się w wynajętej obszernej willi na Chramcówkach. Obowiązki lekarza Schronienia spełnia dr. Józef Żychoń, z którego sprawozdania wynika, że w czasie od d. 1-go Grudnia r. 1902-go do 1-go Stycznia r. b. po- zostawało w Schronieniu 17 nauczycielek. Warunki przy- jęcia do Schronienia są następujące: Osoby, pragnące ko- rzystać z pobytu w Schronieniu, muszą nadesłać na ręce sekretarki trzy świadectwa: 1) nauczycielskie; 2) lekarskie z oznaczeniem rodzaju i stopnia choroby, pisane dla leka- rza, oraz 3) świadectwo ubóstwa. Osoby, korzystające ze Schronienia, wnoszą dzienną opłatę 2 kor. co tydzień z gó- ry, za co otrzymują mieszkanie, zupełne utrzymanie i opie- kę lekarską, której udziela bezinteresownie lekarz Stowa- rzyszenia. Pranie liczy się osobno. Tytułem wpisowego należy uiścić na koszty dezynfekcyi 6 kor. Kandydatki przyjmowane są na trzy miesiące, w razie zaś potrzeby ter- min bywa przedłużony.

— Pan Józef Kwaśniewski z Poznania, jak donosi „Po- stęp“, nabył za ½ miliona marek wieś Chinów pod Wej- herowem, obszaru 5,700 morgów, w tem 3,400 morgów lasu stuletniego. — Komisyja kolonizacyjna nabyła dobra rycerskie Łopienno, obejmujące 3,000 morgów, za 720,000 marek. Skarb państwa kupił Czeszewo z Mikuszewem i z folwarkiem w powiecie wrzesińskim, obejmujące 13,500 morgów za przeszło 3 miliony marek.

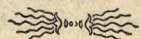
— Artysta malarz, Bolesław Nawrocki, przebywający na studiach w Paryżu, otrzymał od kolonii włoskiej zamó- wienie na wielki obraz dla króla włoskiego, przedstawiają- cy przyjęcie królestwa włoskich w ratuszu paryskim.

Artysta, chcąc sumiennie wywiązać się z danego sobie polecenia, wszystkie osoby biorące udział w uroczystości, portretował z natury. Pozowali mu: królestwo włoscy, prezydent Loubet z małżonką, oraz ministrowie i dygnita- rze obu państw.

Po wykończeniu obraz wystawiono w ratuszu paryskim, a krytyka miejscowa nader pochlebną pomieściła o nim wzmiankę. Następnie obraz wysłano do Rzymu, gdzie uroczystość wręczono go królowi. Król obdarzył p. Na- wrockiego orderem korony włoskiej.

Kolonia włoska w Paryżu zamówiła u naszego artysty drugi podobny obraz, który znowu ma przedstawiać pre- zydenca Loubeta w Rzymie na placu Termini, gdzie go uroczystość powitał syndyk wiecznego miasta, książę Co lonna.

— Nauczyciel szkół średnich we Francyi, Tony Mutier, zrobił propozycję, aby rodzice różnych krajów, nie mający środków na dalsze podróże, zechcieli w celach podagogicz- nych, zamieniać swoje dzieci od lat 12-tu, na czas określo- ny. A więc Francuzi wysyłałiby swoje dzieci do Anglii, Włoch lub Niemiec, po uprzednim porozumieniu się z ro- dzinami, któreby swoje dzieci w tychże celach wysłać za- mierzały. Każda ze stron ponosi koszt podróży, a utrzy- manie otrzymuje bezpłatnie. W Szwajcaryi zwyczaj ten poczyna już być praktykowany. W celach ułatwienia wzajemnego porozumienia się rodziców, p. Mutier założył w Paryżu biuro ceatralne (Boulevard Magenta nr 36), któ- re będzie miało filie w innych miastach. Biuro przygo- towuje zamienny kwestyonaryusz rozsyłany rodzicom, w którym wyszczególnione są warunki: wiek i liczba dzie- ci, zatrudnienie i zamożność rodziców, sposób życia i inne poszczególne. Dobrzeby było, aby podobne kwestyona- ryusze obejmowały uwagi rodzicielskie co do wad chara- kteru i przymiotów dzieci, któreby służyły jako wskazówka postępowania dla obu stron. Z usług biura korzystają już liczne rodziny. Z początku nadeszło 32 de- klaracye: z Francyi 16, z Anglii 8, z Niemiec 7 i jedna z Hiszpanii. Być może, iż nowość taka korzystnie wply- nie na rozwój samodzielności w dzieciach i dozwoli im wza- jemnie przejmować przymioty obcych narodów.





— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności pragnąc zaznajomić społeczeństwo całe z działalnością swoją, podaje do wiadomości jego następujące szczegóły:

Towarzystwo powstało w r. 1814-ym,—rządzi się obecnie ustawą z dnia 22-go Lutego r. 1891-go,— posiada ono zakłady:

- 1) 11 dla sierot chłopców i dziewcząt, w których znajduje się wychowawców i wychowanek 643,
- 2) 4 dla starców i kalek, w których znajduje przytułek 590 osób,
- 3) 38 ochron, do których uczęszcza rocznie dzieci ptei obojga 6,932,
- 4) 4 żłobki, w których przebywa rocznie dzieci ptei obojga 272,
- 5) 28 sal zajęć dla chłopców i dziewcząt, do których uczęszcza rocznie 3,402 dzieci
- 6) 9 kas groszowych, w których rocznie około 10,000 osób składa swoje oszczędności i odbiera je. Obrót roczny przedstawia summę 150,000 rubli,
- 7) 5 kas pożyczkowych cyrkulowych dla ludzi niezamożnych, w których rocznie przecięciowo 2,000 ludzi korzysta z kredytu. Obrót roczny wynosi summę rub. 100,812.
- 8) Kassa pożyczkowa dla popierania drobnego przemysłu i handlu, w której przecięciowo 400 osób rocznie otrzymuje pożyczki. Obrót roczny wynosi 85,000 rubli.
- 9) 23 czytelnie bezpłatne, w których około 16,500 osób otrzymuje książki do czytania,
- 10) Przytułek dla rekonwalescentów, w którym rocznie około 2.015 osób znajduje pomieszczenie,
- 11) Ambulatoryum bezpłatne, w którym udzielana jest pomoc i porada lekarska rocznie około 14,000 osobom.
- 12) 2 kąpiele ludowe, w których rocznie około 68,354 osób otrzymuje kąpiele,
- 13) trzy kuchnie tanie, w których rocznie wydaje się obiadów 1,194,438,
- 14) Oddział rozdawnictwa odzieży, w którym rocznie około 640 osobom biednym bywa wydawana odzież,

15) Oddział wydawania stypendyów i pomocy pieniężnej kształcącej się młodzieży, w którym rocznie wydaje się na ten cel summa rubli 9,992,

16) 22 opieki cyrkulowe, w których rocznie udzielana jest pomoc przeciętnie 28,678 osobom,

17) Wydział wyszukiwania pracy, który wynajduje zajęcia dla biednych. Wydział ten istnieje dopiero od pół roku i dotychczas dał zajęcia 2,120 osobom,

18) Oddział obiadów gościnnych, który wydaje rocznie obiadów 36,500,

19) Oddział zupy rumfordzkiej, w którym wydaje się pożywienie rocznie 66,000 biednym.

Słowem Towarzystwo ma pod swoją opieką razem różnych zakładów 157.

Władze Towarzystwa są wybierane na trzy lata i składają się z prezydium, zarządu i 17 wydziałów.

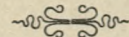
Ilość ogólna członków, pełniących honorowo różne obowiązki jest 880, członków zaś opłacających po 7 rubli rocznej składki jest 972. Liczba ta w stosunku do ludności miasta Warszawy jest zbyt małą i z tej przyczyny uprasza się wszystkich ludzi dobrej woli o zapisywanie się w poczet członków Towarzystwa, opłacających składkę.

Dochody od nieruchomości i procenty od sum, wynoszące razem rubli 103,903, stosownie do zapisów i budżetów Towarzystwa, obracane są na cele wyżej wskazane i na utrzymanie wymienionych zakładów,—nie wystarczają one jednak, jak dotąd, na pokrycie wszystkich tak licznych i różnorodnych potrzeb Towarzystwa i deficyt w tym roku wynosi rubli 14,831 i dlatego Towarzystwo zmuszone jest zwracać się ciągle do ofiarności publicznej o pomoc pieniężną.

W obecnej chwili z powodu wojny na Dalekim Wschodzie Towarzystwo stara się o rozwinięcie działalności swojej w kierunku okazywania jak największej pomocy biednym, a w szczególności pozbawionym pracy, przez wynajdywanie im jej, jako i przez dostarczanie im odzienia i pożywienia. Towarzystwo jednak mając na swej pieczy tak znaczną ilość zakładów, którym musi całoroczny był

zapewnić, nie jest w stanie wobec zwiększającej się ciągle biedy w mieście, swemi środkami materyalnemi podolać temu ważnemu zadaniu i z tego powodu w imię poczucia obywatelskiego zwraca się z prośbą serdeczną do całego społeczeństwa o spieszna pomoc na chleb dla biednych, wierząc silnie, iż prośba jego znajdzie poparcie ogólne i da rezultat pożądany.

Uprasza się o wnoszenie składek dla biednych na chleb pod godłem Towarzystwa „Res sacra miser“ do kasy Towarzystwa. Krakowskie-Przedmieście № 62, od godziny 11-jej do 1 i pół po południu lub w Redakcyach wszystkich pism.



## SPROSTOWANIE.

W korespondencji z Druskienik, pomieszczonej w zeszłym numerze naszego pisma, wkradła się pomyłka drukarska. W ustępie o Elizie Orzeszkowej, zamiast: „Pomimo lat 69 wyczerpującej pracy i ciężkich prób życiowych, Orzeszkowa jest młoda,— powinno być: „Pomimo lat 64“ i t. d., i t. d.

## Treść numeru:

Trzeba znać obce, przez N.—Quodlibet (pogawędka), przez Quisa. — Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy). — Zazdrość (wiersz), przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Wyższe kursa wakacyjne w Zakopanem, przez Kir.— Ułamki szczęścia, przez Antoninę Morzkowską (do kończenia). — Błada jesień, szkic dramatyczny w 1-ym akcie, przez J. St. Mara (ciąg dalszy). — Przegląd teatralny, przez Adama Dobrowolskiego. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul. — Odezwa. — Sprostowanie.— Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 4-ty „Robotnic w Stanach Zjednoczonych“ Van Vorsta, w przekładzie J. P.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 24). — Przepisy kuchenne.

# OGŁOSZENIA.

Tylko przy pierwszorzędnej pracowni sukien można prędko i gruntownie nauczyć się kroju i szycia oraz nabrać gustu, dlatego, osobom interesowanym polecamy

Szkołę kroju i szycia

**MICHAŁINY KOZŁOWSKIEJ**

Mazowiecka 1, m. 4.

Kursy prywatne i cechowe oraz pensjonat dla przyjezdnych z najtroskliwszą opieką.

—>>> Ceny umiarkowane. <<<<<

**Herman & Grossman**

Warszawa,  
Mazowiecka  
Nr. 16.  
Telefon 555.

Fortepiany, fabryk krajowych i zagranicznych  
Pianina i Organy w wielkim wyborze

Petersburg  
Moskwa.

SPRZEDAŻ NA ROZ-  
PŁATY MIESIĘCZNE  
PO 25 RUBLI.



ANGELUS—ORCHESTRAL  
— PIANINA —  
„CROWN“—„SYMPHONY“

WYNAJEM WYBOROWYCH  
INSTRUMENTÓW.

Cenniki ilustrow. gratis.

W 6-cio klasowym Zakładzie Naukowym Żeńskim

**S. TOŁWIŃSKIEJ**

ulica Ś-tej Barbary № 4

(dom specjalnie wybudowany na szkołę)

egzamina odbywać się będą w dniach 1 i 2 Września — lekcye 5 Września.

PENSJA ŻEŃSKA z klasą wstępną

**ANTONINY WALICKIEJ**

w Warszawie, ■rucza №. 44.

Zapis uczenic do 25 czerwca, a po wakacjach od 15 sierpnia od 3-jej do 4-jej w dniu powszednie.  
Egzamin w 1 września. Lekcye rozpoczyna się 2 września.

W 6-cio klasowym Zakładzie naukowym żeńskim

**MARJI MATUSZEWSKIEJ**

przy ulicy Leszno Nr. 28, w Warszawie

Zapis uczennic odbywa się codziennie od 2—4 Egzaminy wstępne od 3-go Września. Rok szkolny 5 Września.

Specjalny Magazyn Bielizny i Konfekcyi Damskiej

**L. GAŁKOWSKIEGO**

138. Marszałkowska 138.

Poleca bieliznę w wielkim wyborze, jako też: Krawaty, Spinki, Laski, Parasole i wyroby trykotowe francuzkie. — Najlepszy krój koszul męzkich.

Kroju wyczuca gruntownie bez poprawek bardzo tanio najnowszym systemem teoretycznie i praktycznie w przeciągu 3—4 tygodni, właścicielka znanej firmy

**„CHIC VARSOVIEN“**

wykwintnej pracowni sukien wykalfikowana krojczyni, dyplomowana przez Paryską Akademię Mistrzów Krawieckich. — Zgoda 6.

W 6-klasowym zakładzie naukowym żeńskim

**LEONII RUDZKIEJ**

w Warszawie, Zielna 13,

egzamina nowowstępujących i warunkowo promowanych uczennic 2 i 3 września (21 i 22 sierpnia). Kurs nauk 5 września (23 sierpnia).

Nowy-Świat 18

SZOTŁA KROJU i SZYCIA

**M. Maciejowskiej**

Prowadzona na wzór Pierwszej Szkoły Paryskiej p. A. Gouband. Zapisy przyjmuje na kursy całe fachowe po ukończeniu których uczennice otrzymują Patenty z Cechu. — Półkursy i oddzielne komplety.



# L. MIASKOWSKI i S<sup>KA</sup>

1. WIERZBOWA 1.

## Dział Sukniowy

otrzymał najświeższe  
nowości zagraniczne  
i sprzedaje

po wyjątkowych cenach.

## Dział Meblowy

## Dywany

oryginalne francuskie,  
angielskie i krajowe.

Chodniki, Kapy,  
Serwety.



## Materje Meblowe

stylowe

## Portiery

z pluszu, jedwabiu, sukna,  
wełny i t. p.

Wszystko w niebywałym wyborze  
i po wyjątkowych  
cenach.

## Firanki i Story

świeżo otrzymane  
zagraniczne i krajowe.

Po rb. 10, 25, 30, 45 do  
200 rub.

Polecamy:

**Serwisy stołowe** na 12 osób kolorowe i ręcznie malowane są gotowe na składzie fajansowe, granitowe i porcelanowe składające się od 71 do 122 kompletów.

**Szkoło stołowe** krajowe jako też i zagraniczne: **Baccarat, Czeskie** i t. p. duży wybór od 9 rubli do 175 r. na 12 osób.

**Garnitury** na umywalnie granitowe angielskie od 5 rubli; **do herbaty i kawy** malowane na 12 osób od 5 do 50 rubli.

**Garnitury toaletowe** w dużym wyborze.

**Donice** do kwiatów od 25 k. za sztukę. **Talerze** fajansowe stołowe mocne I s. od 1 rb. kolorowe po 1.25 k. za tuzin.

**Naczynia** higieniczne, kuchenne, kamienne.

**Szklanki** do herbaty od 50 kop. tuzin. **Wazoni, żardiniery, figury, biusty, patery, kandelabry, popielniczki. Galanterijne przedmioty** w wielkim wyborze. **Ceny przystępne.**

**Malarnia** własna przyjmuje zamówienia na herby i monogramy na porcelanie i szkle.

ADRES: **Mazowiecka 8.**

## F. PIERZCHALSKI

# „CUDO“

najworniejsza zaprawa politurowa L. Müffkego, nadaje świetny połysk podłogom; froterka bez szcetek. Wyborny środek do odświeżania mebli, chodników z linoleum i cerat. Cena kop. 25 i 45 za pudełko. Żądać wszedziel. Wyłączna sprzedaż u

**B. LANDY w Warszawie, Leszno № 53.**

## BIURO NAUCZYCIELSKIE GRETILLAT

Ś-to Krzyżka 15.

Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

## „PRZEMYSŁOWIEC“

Tygodnik popularny

dla spraw techniki i przemysłu, wychodzi we Lwowie, w każdą sobotę rano pod redakcją inż. cyw. E. Libańskiego. Prenumerata miesięczna wynosi 1 K. 20 h., kwartalna 3 K. 50 h.

TREŚĆ: № 45 zawiera następujące artykuły:

1. „W sprawie kredytu hipotecznego dla włościan“.
2. „Sprawy przemysłowe“. W kwestyi ankiety dla przemysłu Królestwa i Galicji (Salezy Bornstein).—Olejarnictwo jako przemysł drobny.
3. „Z przemysłu Królestwa“. Wyroby galanterijne z drzewa i eksport ich do Cesarstwa.
4. „Ruch przemysłowo-handlowy“.
5. „Sprawy techniczne“. Żelazno-betonowe progi kolejowe.
6. „Kronika techniczna i przemysłowa“.
7. „Wynalazki i Konkursy“. O fotografii w naturalnych barwach (Jan Szczepanik).
8. „Pouczenia i przepisy“. Książka narzędziowa.
9. „Pytania i odpowiedzi“.
10. „Głosy z Kraju“. Głos kupca.
11. „Przemysł artystyczny“. Muzea ludowa (Tadeusz Soltys).
12. „Z różnych dziedzin“. Praca a choroba (Stanisław Krauz).
13. „Sprawy zawodowe kobiet“. Kobieta w służbie publicznej (Antonina L...ska).
14. „Bibliografia“.
15. „Korespondencya Redakcyi“.
16. „Rozmaitości“.
17. „Fejleton“. Ze świata postępu techniki i wynalazków.

Rekomendowana przez Tow. Gospodyń Domowych, nagrodzona najwyższą nagrodą „Grand Prix“ na Paryżkiej wystawie powszechnej, opatentowana

## MASZYNA DO GEROWANIA

Za pomocą maszyny nawet dziecko chętnie i z przyjemnością spełni bardzo szybko i łańdnie wszystkie domowe reparacje cerownicze, jak to: naprawa pończoch, obrusów, bielizny, chustek i t. p. trochę lub bardziej uszkodzonych. Maszynka stanowczo wpływa na zachowanie wzroku, olbrzymią oszczędność czasu, trwałość, piękno i jednolitość roboty.

Praca tego rodzaju stanowi przyjemną rozrywkę i daje pewien dochód.

Wysyłam za zaliczeniem pocztowym.

Cena wraz z ilustrowanym podręcznikiem i przesyłką pocztową tylko

**3 rb. 35 kop.**

Adres dla listów i pieniędzy Reprezentant **W. N. Fernebock**, Warszawa, 1-szy kantor pocztowy, skrzynka № 80.

Miejscowa sprzedaż  
Graniczna ulica № 6 m. 27, od 3—5 po południu.

## BIURO NAUCZYCIELSKIE ZALEŃSKI

przeniesione z ul. Berga na ul. Mazowiecką № 3 front, I piętro.

Rekomenduje nauczycielki, nauczycieli, bony, polki i niemki. Sprowadza francuzki z własnego biura w Paryżu.

W Zakładzie Naukowym Żeńskim  
z klasą wstępną i pensjonatem

## Zofii z Wróblewskich Kurmanowej

prowadzonym na wzór

## NORTH LONDON COLLEGIATE SCHOOL

KRUCZA 42.

Zapis uczennic codziennie od 1-3 i od 5-7. Egzaminy 1-go 2-go i 3-go Lekcje 5-go Września.

## Samofarbujące grzebienie

### „FOR“



farbują włosy we wszelkie nie zmywające się kolory, a potem można je farbować i karbować. Grzebienie zupełnie nieszkodliwe. Przesyłka za zaliczeniem. Sztuka rb. 2 kop. 50.



**J. FRANCUZ, Warszawa, Królewska 49.**

## Prażmów

dobra Sukcesorów Ś. p. Izabeli Ryxowej do sprzedania wskutek działów. Wiadomość na miejscu, godz. jazdy kolejką Grójecką i 2 g. końmi, boczną drogą.

## Sklep

## TERESY WILKOŃSKIEJ

przeniesiony został z Chmielnej 25 na **Marszałkowską 92** i poleca oprócz guń, sukmanek, serdaków i t. p. od września nowo otworzony dział tanich ubrańek dziecinnych.

Wydawca: **Piotr Laskauer**.— Redaktor: **Maryan Gawalewicz**.